1951 — Nr IV



POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Na okładce: Św. Józef pędzla hiszp. malarza Francesco Herrera

Sprawy redakcyjne jak np. artykuły, fotografie, listy do redakcji kierować na adres: Redakcja „Pod Opieką św. Józefa" Kraków, ul. Rakowicka 18.

Pieniądze prenumeraty za numery do grudnia 1950 r. przesyłać na Konto: Wydawnictwo Karmelitów Bosych Kraków IV-842/115.

Zamówienia oraz opłatę miesięcznika od stycznia 1951 r. prowadzi wyłącznie

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch"
P. K. O. Kraków — Dział Prenumeraty Pocztowej
Wydawnictwo Religijne i Naukowe Nr IV-9451/110

Prenumerata musi być opłacana zawsze z góry, najdalej do 20-go poprzedniego miesiąca. Niezapłacenie prenumeraty, względnie jej nieodnowienie powoduje automatycznie przerwanie dostawy pisma.

POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Nr 4 1951 Rok VI

Rola św. Józefa w naszym życiu

II

Świetlane cnoty, wzniosłe przykłady, którymi nas olśniewają i pobudzają do wstępowania w swe ślady atleci Boży — to dopiero połowa roli, jaką mają oni odegrać w naszych wysiłkach, abyśmy i my mogli dojść, tam gdzie doszli oni. W ich posłannictwie tkwi jeszcze coś więcej, coś, na co niektórzy ludzie zwracają wyłączną uwagę. Tą drugą połową, jest ich wstawiennictwo za nami u Boga. Jak ogrodnik zasadziwszy drzewko w ziemię, wciąż je podlewa i umacnia mocnym palikiem przeciw wiatrom, jak przewodnik w górach wspiera niedoświadczonego wędrowca w trudniejszych przejściach, tak i święci wspierają nas swą opieką w ciężkich chwilach. Ale chyba najpotężniejszą i najbardziej skuteczną, po Matce Najświętszej, jest opieka św. Józefa. Rozciąga się ona na wszystkie wypadki, jakie tylko człowiekowi mogą się zdarzyć w życiu. Najdobitniej wyraża tę prawdę wielka czcicielka Opiekuna Jezusowego, św. Teresa z Avila. Warto tu przytoczyć jej słowa, które odznaczają się niezachwianą ufnością w jego opiekę: „Obrałam sobie za orędownika i patrona chwalebnego świętego Józefa, usilnie jemu się polecając. I poznałam jasno, że jak w tej potrzebie, tak i w innych pilniejszych jeszcze, w których chodziło o cześć moją i zatracenie duszy, Ojciec ten mój i Patron wybawił mię i więcej mi dobrego uczynił niż sama prosić umiałam. Nie pamiętam bym kiedykolwiek aż do tej chwili prosiła go o jaką rzecz, której by mi nie wyświadczył. Jest to rzecz zdumiewająca, jak wielkie rzeczy Bóg mi uczynił za przyczyną tego błogosławionego świętego, z ilu niebezpieczeństw na ciele i na duszy mię wybawił. Innym świętym, rzec można, dał Bóg łaskę wspomagania w tej lub owej potrzebie, temu zaś chwalebnemu Świętemu, jak o tym wiem z własnego doświadczenia, dał władzę wspomagania nas we wszystkich: chciał przez to nas upewnić, że jak mu był poddany na ziemi jako opiekunowi i mniemanemu ojcu swemu, który miał prawo mu rozkazywać — tak i w niebie czyni wszystko, o cokolwiek on Go prosi. Przekonali się o tym i inni, którym poradziłam, aby się jemu polecili i coraz więcej jest już takich,

którzy go czczą i wzywają doznając na sobie tej prawdy" [1]*).*

Przede wszystkim jednak opieka św. Józefa uwydatnia się w pielęgnacji życia wewnętrznego. Jak niegdyś opiekował się Jezusem: ochraniał go od śmierci, okrywał i karmił, tak i dzisiaj wziął w swą opiekę tego Jezusa w duszach duchowych. A kiedy upragniona łaska została już udzielona, nie mogli znaleźć odpowiednich słów, by wychwalać jego dobroć, by jak najwięcej dusz pobudzić do jego czci. Zapewne w takim uniesieniu wdzięczności po świeżo otrzymanej łasce, wypowiedziała Mistrzyni z Avila te słowa: „Pragnęłabym



naszych i troszczy się, aby Mu na niczym nie zbywało. Dlatego każdy, kto na straży swego serca postawił tego roztropnego stróża, może być pewien, że tam Jezus nie poniesie żadnej szkody, owszem będzie wzrastał i coraz bardziej przenikał głębie serca. Wiedzieli o tym najznakomitsi mistrzowie życia wewnętrznego jak: św. Bernard, św. Bernardyn Seneński, św. Teresa, św. Franciszek Salezy i uciekali się do niego o pomoc w swych trudnościach wszystkich pociągnąć do pobożnej czci tego chwalebnego Świętego, wiedząc z długoletniego doświadczenia, jak wielkie dobra on jest mocen wyjednać nam u Boga. Nigdy jeszcze nie spotkałam nikogo, kto by prawdziwe miał do niego nabożeństwo i szczególną mu cześć oddawał, a nie czynił coraz większych postępów w cnocie, bo on w sposób dziwnie skuteczny wspomaga każdą duszę, która się mu poleca. Od wielu lat już, o ile pamiętam, co roku w dzień święta jego proszę go o łaskę i otrzymuję ją, a jeśli prośba moja jest w

[1] Życie przez nią samą napisane, r. VI, n. 6.

czym niewłaściwa, on ją zawsze sprostuje dla większego dobra mego" 1).

Dziś zwłaszcza tak bardzo jest potrzebna opieka św. Józefa w dziedzinie życia wewnętrznego, kiedy dość spora gromadka dusz wstępuje na drogę doskonałości. Często dusze nie mogą znaleźć odpowiedniego kierownika, który by wskazał bezpieczne przejścia, a w chwilach słabości i doświadczeń podparł swoim ramienieb. Często nie wiedzą jak pracę czynną połączyć z życiem modlitwy; jak wśród rozlicznych zajęć zapewnić sobie wewnętrzny spokój, bez którego trudno nawet myśleć o doskonałości. Rozwiązanie tych wszystkich problemów może dać właśnie św. Józef. Wszak on swe wykształcenie w życiu wewnętrznym pobierał w najsławniejszej szkole cnót, jaka kiedykolwiek istniała na świecie. Postępował pod okiem najsławniejszych mistrzów, bo pod okiem samego Syna Bożego i Jego Przenajświętszej Matki. Jest on pierwszym człowiekiem, który żyjąc wśród świata, bez uciekania na pustynię, umiał urządzić sobie życie pełne ciszy sprzyjającej doskonałości. Tym swoim cichym i cnotliwym życiem wysłużył on sobie łaskę, że może tak skutecznie wspierać swoich czcicieli. „Kto więc nie znalazł jeszcze mistrza, który by go nauczył modlitwy wewnętrznej niech sobie tego chwalebnego Świętego weźmie na mistrza i przewodnika, a pod wodzą jego nie zbłądzi" 2). Głęboka ufność w jego opiekę stanie się dla takiej duszy oddanej życiu wewnętrznemu gwiazdą przewodnią, nadzieją, pociechą w oschłościach i niebezpieczeństwach. On ją będzie prowadził z podobną roztropnością z jaką zwykł postępować będąc jeszcze na ziemi. Może jej wśród ciemności wyszukać prawdziwą ścieżkę wiodącą prosto do Królestwa niebieskiego. Nauczy stawiać na niej pierwsze kroki. Nauczy podnosić wzrok prosto przed siebie do wytkniętego celu, aby odwrócić uwagę od rzeczy znikomych widniejących po bokach. On wskaże jak skracać drogę, by w krótkim czasie dojść do upragnionego celu. Bo prawdziwa świętość polega nie tylko na tym, aby wypełnić naznaczone przez Boga zadanie, ale i na tym, by je wykonać w oznaczonym czasie. Każde opóźnienie i zastój w tych trudnych zapasach, staje się dla duszy stratą niepowetowaną. Lecz i te straty można nadrobić pod przewodnictwem św. Józefa.

Myliłby się jednak, gdyby ktoś myślał, że św. Józef wspiera nas tylko w potrzebach duchowych, a nie troszczy się o nasze potrzeby doczesne, które sprawiają nam nieraz tyle kłopotu i przykrości. Jeśli kogo przygniata strapienie i nie wie jak mu zaradzić, niech się uda do św. Opiekuna, a za jego wstawiennictwem przezwycięży wszystkie trudności. Niepodobieństwem jest przypuścić, aby ojciec posiadający szlachetne serce i dysponujący odpowiednimi środkami, nie zlitował się nad swym dziecięciem, widząc je obarczone tymi samymi udrękami, jakie i on niegdyś przechodził. Tym większą niedorzecznością byłoby przypuścić, że św. Józef, który tak żywo odczuwał wszystkie dolegliwości szarego życia, który tak samo jak w Nazarecie względem Jezusa, pełni i obecnie obowiązki ojcowskie względem nas — nie ulituje się nad naszą dolą, gdy go będziemy prosić o pomoc.

Przytoczę tu jeszcze raz przykłady z życia św. Teresy z Avila, która tyle łask doznała od swego ukochonego Pa-

---

1) Tamże, n. 7. 2) Tamże, n. 7.

trona. Będąc jeszcze młodą zakonnicą, zapadła na bardzo ciężką chorobę. Miejscowi lekarze zwątpili w możliwość zapobieżenia jej ogromnym cierpieniom. Dzięki staraniom kochającego ją ojca, otrzymała pozwolenie na kurację w pewnej miejscowości leczniczej. Ale radykalne sposoby stosowane w ówczesnej medycynie, jeszcze bardziej nadwyrężyły jej organizm. Po trzech miesiącach tej kuracji zabrał ją ojciec do domu. Tu cierpienia jej doszły do ostateczności. Kilka dni leżała bez ruchu, tak, że ją uznano za zmarłą. Po pewnym czasie stan jej się polepszył, ale mimo wszystko choroba nie ustąpiła, a lekarze nie robili żadnych nadziei. Wtedy zwróciła się o pomoc w tej niemocy do św. Józefa. Jaki był skutek jej prośby, najlepszym dowodem jest całe dzieło reformy Karmelu, jej pełne mądrości Bożej pisma i te osiemnaście klasztorów osobiście przez nią fundowanych, spośród których trzynaście było pod wezwaniem św. Józefa.

Pewnego razu św. Reformatorka udając się na fundację klasztoru do Veas w Andaluzji, zmuszona była wraz z kilkoma siostrami przeprawić się na wozach przez niebezpieczne, pełne przepaści góry Siera Morena. Góry okryła gęsta mgła, tak bardzo niebezpieczna dla wszystkich, których dosięgnie swymi kłębowiskami na górskich przejściach. Droga stawała się tak wąska, że trudno było przejść pieszo, a o wozach nie mogło być mowy. Przewodnik stracił orientację. Zawrócić wozy na wąskim przesmyku było prawie niemożliwością. Wobec bezradności przewodnika i ciężkiej sytuacji św. Teresa wezwała swe towarzyszki do modlitwy o pomoc Bożą za pośrednictwem św. Józefa. Wtem obok — wśród mgły rozległ się głos: wstrzymajcie się, bo jeden krok i zguba! Nachylcie wozy i zawróćcie! Wkrótce potem przewodnik znalazł bezpieczną, szeroką drogę. Nie omieszkał jednak wrócić, aby podziękować nieznajomemu za ostrzeżenie. — Wtenczas Święta rzekła do sióstr: szkoda że wraca, bo to był głos św. Józefa, który nas ocalił od niechybnej śmierci

Tak ten możny Patron opiekuje się swymi czcicielami. Uzdrawia w chorobach, broni przed zagrażającym niebezpieczeństwem śmierci, dopomaga w kłopotach pieniężnych, w krytycznych chwilach dostarcza koniecznych środków do życia, jak pokarmu i odzieży. Przywraca zagrożoną cześć, więźniów niewinnych oswobadza, pełni rolę rozjemcy w nieporozumieniach. Oto najczęściej spotykane dowody jego opieki. A gdyby ściany i posadzki w sanktuariach św. Józefa mogły mówić, powiedziałyby nam o całych potokach łez, o szumie westchnień wdzięczności i ulgi, których były jedynymi świadkami. Wniosek stąd praktyczny, że i nas św. Józef będzie wspierał swą opieką, olśniewał i pociągał swym przykładem, o ile zechcemy iść w jego ślady i szukać jej opiekuńczego ramienia.

Karmelita Bosy.

DOBRY PASTERZ



„Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Kto nie wchodzi do owczarni przez bramę, ale wdziera się inną drogą, ten jest złodziejem i zbójcą. Lecz kto wchodzi przez bramę jest pasterzem owiec. Temu odźwierny otwiera, a owce słuchają głosu jego, własne swe owce woła po imieniu i wyprowadza je... Jam jest bramą dla owiec. Jeśli kto przede mnie wnijdzie, będzie zbawiony i wnijdzie i wynijdzie i pastwisko znajdzie. Złodziej nie przychodzi jeno, aby kraść, zabijać i tracić. Ja przyszedłem, żeby miały życie i obficiej miały.

Jam jest dobry pasterz, Dobry pasterz życie swoje daje za owce swoje...

Jam jest Pasterz Dobry, znam swoje i one mnie znają, jako mnie zna Ojciec, a ja znam Ojca. I życie swoje daję za owce moje... Dlatego miłuje mnie Ojciec, że ja życie swoje oddaję, abym je znowu otrzymał". Z rozdziału X św. Jana.

W przypowieści powyższej, którą Kościół czyta w drugą niedzielę po Wielkiejnocy i w uroczystości niektórych Biskupów, przedstawia siebie Chrystus jako dobrego pasterza, jako wychowawcę wskazując na jego podstawowe zalety. Bierze za symbol pasterza, bo nic bliższego mieszkańcom Judei. Większość ludności to pasterze, którzy na zimę spędzają trzody w doliny, gdyż na górach słońce wypaliło zieleń. Pasterze ci łączą się w grupy, wspólnie sobie pomagają w czuwaniu nocnym. W dzień każdy zajmuje się swoją gromadką, a owce doskonale poznają swego pasterza po głosie. Chrystus Pan w swej przypowieści uwzględnił wszystkie ich zwyczaje, by słuchacze tym lepiej zrozumieli ideę przewodnią.

Jezus jest nie tylko troskliwym pasterzem, który się stara o coraz lepszą i obfitszą paszę, ale nazywa siebie bramą wiodącą do owczarni. „Kto przeze mnie wchodzi zbawion będzie". Wiara w Chrystusa, który miał przyjść, zbawiała w Starym Testamencie, wiara w Odkupiciela jest tą królewską bramą, przez którą wchodzimy dziś do społecz-

ności wiernych, wiara w Jezusa ściąga nam łaski potrzebne i daje poczucie bezpieczeństwa.

Jezus, dobry pasterz to ideał każdego wychowawcy, a więc i ojca i matki. — Podstawowym przymiotem jest miłość do dziatwy i świadomość wzniosłości powołania. Bóg powierzając rodzicom duszę dziecka, zapewnia im pomoc łaski, o czym nie wolno zapominać, a co zwiększa poczucie odpowiedzialności. Ażeby móc wychować, potrzeba znać dziecko, a to się osiąga przez obcowanie z nim, rozmowy, zabawy i dzięki intuicji, wspomaganej światłem Ducha Świętego. Ono rozświeca mroki duszy dziecka i ukazuje jej głębie. Musimy sobie móc powiedzieć: „znam moje i znają mnie moje".

Wychowanie wymaga bezinteresowności i poświęcenia, dobry pasterz życie swe daje za owce, należy więc do dzieci cały nasz trud, czas, serce, z którego trzeba wytępiać egoizm, pragnący wychować dzieci dla siebie bez względu na dobro jego osobiste i społeczne.

Z miłości ofiarnej płynie cierpliwość, wyrozumiałość, długomyślność. Każda dobra zasada wymaga czasu, aby się przyjęła i pokonała opór przeciwnych skłonności. My często wzrost nasienia utrudniamy albo wprost uniemożliwiamy naszą niecierpliwością. Chciejmy zaufać łasce i wysiłkom dziecka. Piękny przykład bezinteresownej miłości daje Pan Jezus w przypowieści o owcy zgubionej. Dobry pasterz zostawia 99 owiec, a szuka tej jednej zbłąkanej, a znalazłszy ją na bezdrożach, odnosi na swym ręku do owczarni, nie wypomina nieposłuszeństwa, ale cieszy się, że się „znalazła, która była zginęła".

Takie postępowanie będzie wyrazem szacunku dla wychowanka, a jak często brak takiego szacunku w życiu, a przecież dziecko — to człowiek, a nie rzecz. Miarę naszego postępowania wykreśla roztropność, ona umie przewidzieć, utrzymać złoty środek między serdecznością a surowością, ona dobiera środek postępowania, ona zwraca uwagę na rzeczy istotnie ważne, a każe przeoczać drugorzędne. Roztropność zwłaszcza potrzebna w karceniu, by to było sprawiedliwe i podnoszące, potrzebna może jeszcze więcej w podawaniu ideałów i wartości, by te dostosowane były do rozwoju i możliwości dzieci.

Z innych cnót pożądaną jest dla wychowawcy łagodność, szczodrobliwość, wielkoduszność, dyskrecja. Na tę ostatnią młodzież jest bardzo wrażliwa i nie łatwo przebacza tym, którzy nadużyli zaufania. Ważną zaletą jest umiejętność konsekwentnego wymagania i egzekutywa w przeprowadzaniu zarządzeń. O brak jej rozbija się karność, bez której trudno o wychowanie osobowości. Młodzież lubi wychowawców wymagających, bo w nich ma oparcie swej słabości. Pogoda ducha i radość wychowawców są dla dzieci niezbędnymi czynnikami. Uciekają z domu, gdzie panuje zgryźliwość, smutek, przygnębienie. Trzeba cieszyć się radościami dzieci, choć nam bardzo coś dolega, entuzjazmować się tym co piękne, szlachetne, jak one się tym entuzjazmują. Trzeba z dziećmi być wiecznie młodym, bo to zdobywa zaufanie, a to daje intensywny duch modlitwy. W świetle modlitwy poznajemy niedomagania i wady, które przetrącają wpływ wychowawczy, a tymi są: despotyzm, małoduszność, suchość, twardość, pesymizm. Modlitwa nie pozwoli na zniechęcenie gdy ujrzymy nasze niedobory, ona każe zwrócić się do dobrego Pasterza o światło i moc.

Żeby jednak móc naśladować Dobrego Pasterza, trzeba być Jego dobrą owieczką, umieć się wsłuchać w głos Jego.

„Za oddanie się — oddanie. Za poznanie — poznanie. Za poznanie mnie, poznanie Ciebie o Jezu... Z blasków duszy, ślad Twej łaski, z nędzy szlaki Twego miłosierdzia. Za uporne wytrwanie — uporne wołanie o miłość. Za pastwisko — karmienie się Twoją miłością. Na wołanie głosu Twego — odpowiedź: Oto jestem o Jezu" (Arcyb. Teodorowicz Okruchy Ewangeliczne str. 158).

Ileż w tym siły dla rodziców.

S. Barbara Żulińska

TELESKOP W ZAŚWIATY

Człowiek jest ustawicznie w drodze, a powinna to być droga — wzwyż! Stanowi ją praca nad upodabnianiem się do Boga.

Lecz skądże wiadomo, że jest Bóg i jaki on jest? Bóg nie podpada wszakże pod zmysły i mieszka — jak powiada Pismo święte — w niedostępnej światłości. Nie dojrzy go zatem oko. A rozum? Rozum skazany na własne siły dochodzi wprawdzie poprzez filozoficzną analizę świata stworzonego do pojęcia, że istnieć musi Byt najwyższy, stwórca wszechrzeczy, ale od tego stwierdzenia do istotnego poznania Boga bardzo .jeszcze daleko. By się zaś dopracować tej, tak zresztą niedostatecznej wiedzy o Bogu, musi umysł namozolić się rozumowaniem, na które nie każdy człowiek zdobyć się może. Istnieje więc niewspółmiernie dysproporcja między przedmiotem, który musi być poznany, by mógł być naśladowany a rozumem poznającym. Cóż tę przepaść wypełni? Cóż ukaże człowiekowi Boga w pełni Jego doskonałości?

Nikt inny tylko sam Bóg ukazać się może tym, których powołał do współżycia ze sobą i ukazał się on rzeczywiście w dziejach świata wielokrotnie i ukazuje się do dziś tym, którzy chcą przyjąć Jego objawienie. Objawienie się Boga ludziom dokonało się i dokonuje już teraz w sposób dostosowany do naszych obecnych warunków, a dzieje się to za pomocą wlanej, boskiej cnoty wiary.

Czy wiara daje poznanie Boga? Czy dać w ogóle może? Cóż to jest wiara? Oto pytania, które cisną się na usta tych, którzy porwani pragnieniem poznania Boga osadzeni zostają w miejscu pozorną niewspółmiernością tego środka do tak wielkiego celu. A jednak wiara — wiara teologiczna czyli boska — jest czymś bardzo wielkim i bardzo potężnym — tak potężnym, że nawet w tak wielkiej sprawie, jaką jest poznanie Boga, oddaje ona olbrzymie, niezastąpione usługi.

Bo nie jest to ta wiara ludzka, przyrodzona, dotycząca rzeczy stworzonych, która samorzutnie rodzi się w umyśle, gdy mu ktoś wiarogodny przedstawia coś, co nie jest sprzeczne z rozumem. Ta wiara nie wystarczyłaby dla poznania Boga. Wchodzi tu natomiast w grę wiara, którą Bóg sam składa w duszy w chwili chrztu św., a jest to sprawność — boć to przecie cnota wlana — doskonaląca rozum przyrodzony i sprawująca, że człowiek nabywa pewności, że Bóg istnieje, choć go nie widać — i dowiaduje się o Nim rzeczy, których nie może sprawdzić namacalnie. To ziarenko wiary wlane w duszę przy chrzcie świętym — to oczywiście sprawność, która wymaga pielęgnacji. — Bóg wkłada je nam wprawdzie w duszę, ale wzrost jego zależy od tych, którzy mocą tradycji przekazują z pokolenia w pokolenie treść objawienia Bożego i od danego człowieka, który przekazany mu skarbiec prawd wiary przyjąć musi samodzielnie i żyć według jego zasad.

Jeżeli mówimy, że Bóg składa w duszy ziarenko wiary w siebie samego — nie znaczy to, że wsiewa je w samą istotę duszy. Zapładnia nią raczej władze duszy. W pierwszym rzędzie rozum. Dzięki wierze nadprzyrodzonej rozum poznaje Boga, podobnie jak w dziedzinie rzeczy stworzonych poznaje on przez wiarę przyrodzoną niejedną rzecz nieoczywistą aktualnie dla oczu. Ale nie tylko na rozum działa wiara boska. Dosięga ona też wolę, a to dlatego, że rozum siłą swej natury dąży do oczywistości. Chce on raczej widzieć niż wierzyć, a tymczasem na ziemi nie jest on zdolny w całej pełni poznać Boga. Musi więc niejako ugiąć kolano przed czymś, co go przerasta, a ugiąć je może tylko na rozkaz woli. Toteż boska cnota wiary nakłania wolę, by ten rozkaz rozumowi wydała. Nakłania ona przede wszystkim rozum do możliwie sumiennego zbadania podstaw wiary, a w to co zbadać już nie zdoła, bo za słaby, w to rozkazuje rozumowi uwierzyć, gdyż Ten,

w którego winien wierzyć zasługuje na to przez swą świętość i prawdomówność. Wiara więc daje poznanie Boga i pogłębia jego znajomość, gdyż rozum wierzący interesuje się Bogiem i stara się go coraz lepiej poznać w świetle objawionych prawd wiary.

Przedziwne jest działanie wiary w duszy. Z jednej strony jest ona jakoby instrumentem, wzmacniającym widzenie w człowieku. To niejako teleskop w zaświaty i istotnie dusza uzbrojona w wiarę, wychodzi poza siebie, a sięga dalej nawet niż ponad gwiazdy, bo dociera do zupełnie innego świata niż świat stworzony, dochodzi bowiem aż do samego Stwórcy świata. Z drugiej zaś strony wiara wrasta w duszę i staje się tam fundamentem nowego życia i nowej aktywności nie dających się wprost porównać z życiem i aktynością biologiczną organizmu ludzkiego czy nawet duchowe przyrodzonego życia i działania. Ona to bowiem dając duszy pewność o istnieniu Boga, umożliwiając jej poznanie jego doskonałości i pouczając ją o tym, że celem jej jest upodobnianie się do Boga uświadamia ją równocześnie o tym, że tkwi w niej, prócz życia naturalnego i zacząłek życia bożego, które ma w sobie rozwijać, by móc dojść do pełni współżycia z Bogiem we wieczności.

Jest więc wiara w duszy zaczątkiem doskonalenia się i uświęcenia się człowieka. To ten pierwszy krok na drodze do zbawienia, a zarazem to siła, z którą porównać się nie da żadna inna moc na ziemi. Ona to bowiem pomaga człowiekowi w pokonywaniu wszelkich trudności, jakie się przed nim piętrzą w pracy nad sobą. Ona wreszcie jest osłodą i pokrzepieniem w cierpieniu, ona nieraz ostatnią deską ratunku, a często, gdy nic już w życiu nie zostaje, jedynym dobrem, które nidy nie straci na wartości.

Człowiek wierzący nie zawsze sobie ceni skarb wiary. Jest do niej tak przyzwyczajony, że oddycha nią, jakby trzecim płucem. Ale głębsza nad nią refleksja odsłania nam jej wielkie znaczenie i wspaniałość, oraz objawia nam niezmierzoną dobroć Boga, który nam wiary udziela. Bo — pamiętajmy — wiara nadprzyrodzona to nie jest coś, co możemy zdobyć zupełnie samodzielnie. A nie możemy dlatego, bo wiara nadprzyrodzona jest czymś gatunkowo nas przerastającym. Ponieważ zadaniem jej jest ukazywać Boga, a Bóg przewyższa nas do tego stopnia, że nie mieści się po prostu w nasze możliwości poznawcze, więc środek, który nam go daje poznać, musi być innej po prostu natury, by mógł Boga odzwierciedlić w duszy. Taki zaś przerastający środek może jedynie sam Bóg podać człowiekowi i czyni to też istotnie dając mu boski dar wiary. Wiara — według zdania teologów — to poznanie Boga, jakim Bóg sam siebie poznaje, użyczone częściowo człowiekowi przez samego Boga. Czyż to nie dar nad dary? Ale udzielanie tego daru jest uwarunkowane dwukrotnie przez współudział człowieka. Raz uzależnione ono jest przez warunki zewnętrzne, środowisko. Dziecko otrzymuje zalążek wiary o ile otrzyma chrzest święty i wiara się w nim rozwija, o ile jest ono wychowywane we wierze. Powtórna zależność wiąże się z pracą osobistą człowieka ochrzczonego w zachowaniu wiary. Gdzie brak jednego i drugiego, Bóg niejako zahamowany zostaje w swej hojności. Dusza, która nie pracuje nad utrzymaniem wiary traci poznanie Boga. Jest to sytuacja tragiczna, za którą przyjąć odpowiedzialność któż się poważy? A jednak ileż rodziców zwleka z chrztem dziecka, ileż zaniedbuje jego wychowania we wierze i iluż ludzi lekceważy sobie skarb wiary?

Chciałoby się fakty takie usprawiedliwić, wytłumaczyć brakiem zrozumienia tych wielkich rzeczy, jakie kryje w sobie wiara. Ale dla tych osób, które żyją w kraju katolickim, gdzie zdobycie wiedzy religijnej nie należy do rzeczy przechodzących możliwości jednostki, czy takie usprawiedliwienie znajdzie uznanie w oczach Boga?

— Panie, przymnóż nam wiary! — prosili apostołowie Chrystusa i dobrze prosili, bo Bóg, dawca wiary, wiarę na prośbę człowieka, pomnaża w sercu. Prośmy i my za ich przykładem o wiarę dla siebie, bo wiara to wielka rzecz, to początek naszego zjednoczenia z Bogiem.

Felicja Żurowska

Życie w duchu Zmartwychwstania



Święta i uroczystości związane z Wielkanocą mają treść podwójną. Jedna treść jest własnością Osoby Chrystusa, druga ma stanowić własność naszą. Chrystus zmartwychwstał i my zmartwychwstajemy. Zmartwychwstaliśmy przez chrzest. Zmartwychwstajemy co dzień przez pracę nad sobą, wznosząc się coraz wyżej nad poziomość. W niektórych duszach powtarza się w tym czasie to pierwsze, zasadnicze zmartwychwstanie: z grzechu do łaski. To jednakże za mało. Zaczynają wciąż od początku. Ale i to już wiele, i wystarcza byle się znaleźć na drodze zbawienia. Noc święta, zwycięska, wielka, to nie tylko ta noc, w której Chrystus wyrwawszy się z objęć śmierci „wyszedł z triumfem z otchłani" (Christus ab inferis victor ascendit) — *jak głosi wielkosobotni „Exultet", lecz jest to noc, która i nas „oderwawszy od nałogów światowych, przywraca do łaski i zespala z świętym życiem"* (a vitiis saeculi segregatos reddit gratiae, sociat sanctitati), *jak śpiewa tenże sam hymn. A więc Wielkanoc winna nas zespolić raz na zawsze i nierozerwalnie z życiem w nas wskrzeszonym.*

Wielkanoc, prawdziwa Pascha chrześcijan, prawdziwe wyjście z Egiptu, to nie wyłącznie rocznica wydarzeń, nie li tylko obchód świąteczny, ani liturgiczne ceremonie w swej zewnętrznej paradzie. To równocześnie wskrzeszenie dusz naszych do życia. To otrząśnięcie się z kajdan niewoli, to rozpalenie swej woli nową miłością i oświecenie swej myśli nowym blaskiem wiary. Dla dokonania w nas tego wskrzeszenia do życia dzieci Bożych, Kościół ustanowił prawo wielkanocnej Komunii. Znak to, że w tym okresie, jeszcze bardziej niż w okresie Bożego Narodzenia, winniśmy być zespoleni z Chrystusem w jego życiu triumfalnym. Mamy stanąć zwycięscy ponad śmiercią i grzechem. Nasze Alleluja ma być głośniejsze i radośniejsze niźli jakakolwiek kolęda. Kościół taki na to nacisk kładzie, że prawo dorocznej Komunii związał z Wielkanocą. Nasi zaś arcypasterze nie chcąc dopuścić do karygodnego zaniedbania tego obowiązku, rozciągają w niektórych diecezjach ten termin jak najdalej, nawet między okres od Niedzieli Starozapustnej (70-nicy) aż do Niedzieli Trójcy świętej (1 po Ziel. Św.). A ponieważ do godnej Komunii niezbędny jest stan łaski, dlatego praktycznie odbywa się w tym okresie i Spowiedź świętą.

Choć prawo ujmuje pewne zasady i wolę Bożą w okresy czasu czy miejsca, to przecież życie przez te przepisy regulowane nie ma być ograniczane do tych terminów. Całe życie chrześcijanina jest życiem zmartwychwstałym, od Wielkanocy do Wielkanocy, od kolebki aż do łoża śmiertelnego. Nie jest godny miana chrześcijanina, kto poprzestaje tylko na okresowych próbkach życia chrześcijańskiego. Być zawsze chrześcijaninem oto pełnia. Normalnie życie chrześcijanina tak się rozwijać winno, iżby łaskę synostwa Bożego otrzymaną na chrzcie nigdy nie utracił. Odkąd została w nas zabita śmierć duchowa odziedziczona po naszym upadłym ojcu Adamie, a zostaliśmy włączeni w życie Jezusa Chrystusa, to ambicją i kwestią najważniejszą w naszym życiu winno być utrzymanie naszego myślenia, chcenia i całego postępowania na tej platformie życia wskrzeszonego.

Św. Paweł mówi o tym swoistym językiem mistyka: „Chrystus powstawszy z martwych więcej nie umiera, i śmierć już nad Nim nie zapanuje" (Rzym., VI, 9). Czyżby więc nam, których życie ma być powtórką życia Jezusowego, godziło się napowrót popadać w stan śmierci? Czyż raz strąciwszy z siebie jej panowanie, jeszcze ściągać będziemy na siebie jej tyranię? Nie, bo to byłaby wielka niekonsekwencja. Byłoby to sprzeniewierzenie się prawu życia, które raz wskrzeszone więcej nie umiera. Dlatego mówi zaraz św. Paweł, konkludując: „Tak i wy rozumiejcie, żeście umarli dla grzechu, a żyjecie dla Boga w Chrystusie Jezusie Panu naszym" (tamże 11).

Co więcej, drożej, podwójnie drożej ceni sobie zdrowie i życie ten, kto je po utracie odzyskał. Boleść utraty daje nam poznać najlepiej cenę dobra utraconego. Ile sobie cenić należy życie dzieci Bożych, życie w przyjaźni z Bogiem, to mówi nam o tym już to własne doświadczenie, już to widok doświadczeń Chrystusowych. Ileż to udręk kosztuje człowieka świadomość grzechu! A jakąże Męką, i jakim konaniem musiał odkupić to życie Chrystus! Życie swej duszy cenić sobie snadź mamy ponad wszystko, skoro sam Stwórca nie wahał się umrzeć za nie. Cenić, zachować i rozwijać życie! — wołają do nas głosy Wielkanocy. Chrystus zmartwychwstał raz i więcej już nie umiera. Prawdziwy chrześcijanin także raz ożywszy w łasce więcej nie umiera, jest nieśmiertelny, bo jego życie jest w Chrystusie Zmartwychwstałym. Uroczystości mijają, życie przez nie się wzmaga, a nie ustaje.

O utrzymanie tego życia wskrzeszonego nadal, na codzień, na cały okres naszej ziemskiej pielgrzymki, modlił się Kościół w I-szą niedzielę po Wielkanocy: „Prosimy Cię, Wszechmogący Boże, przy zakończeniu tych uroczystości spraw, abyśmy nie przestali z łaski Twojej w ich duchu żyć i postępować"

Żyć duchem Wielkanocy!

O. Otto Karmelita Bosy

DZIEWIĘCIORNIK

Listy do Krystyny o możliwościach osiągnięcia świętości w małżeństwie

XI

Kochana Krysiu!

Przeczytawszy tytuł tego listu pomyślisz zapewne, iż Twój stary przyjaciel już w piątkę goni, bo mnogość tych porównań „kwiatowych" jakoś zbytnio trąci „kwiecistością" i banałem. Niestety jednak, widać wyobraźnia moja istotnie szwankuje, bo ani rusz nie mogę znaleźć żadnego porównania, które by trafniej zdołało oddać obraz, jaki powstaje mi przed oczyma, gdy myślę o tych trzech wykwitach trzech cnót teologicznych jakimi są: milczenie, umartwienie i pokora.

Wszystkie trzy jawią mi się pod postacią kwiatów. Oto z korzeni wiary, nadziei i miłości wyrosły naturalnym pędem rośliny: posłuszeństwa, ubóstwa, czyli wyrzeczenia się siebie i czystości, wystrzelającej w górę ku oglądaniu słońca Przedwiecznej Mądrości. Każda z tych roślin musi, oczywiście kończyć się kwiatem, brzemiennym w owoc, mający stanowić posiew dalszej wiary, nadziei i miłości w innych duszach. Kwiaty te widzę konkretnie i plastycznie. „Widzenie" to odbiega jednak od ogólnie przyjętych schematów. Oto na łodydze posłuszeństwa rozkwita kalia o rozchylonym, mistycznym kielichu: Milczenie zasłuchane w rozkazy i natchnienia Boże. Pokora nie jest tym skromnie ukrytym pod liśćmi fiołkiem, pod postacią którego nam ją zazwyczaj przedstawiają. Przeciwnie. Na strzelistym pniu czystości, która w świetle Bożym ogląda wszystką prawdę z całą jej hierarchią wartości i zarysami Bożego planu, chyli się w niskim pokłonie, jak gdyby olśniona blaskiem i przytłoczona nadmiarem zachwytu, wysoko wyniesiona ponad ziemię, purpurowa róża pokory. Zaś wyrzeczenie się siebie, co wyrosło z korzenia nadziei, ściele się po ziemi. Obejmuje zaborczo całą dziedzinę naszego przyrodzonego odczuwania. Rozrasta się kolczastymi, a misternie rzeźbionymi liśćmi górskiego dziewięciornika, Czyś kiedy widziała, Krysiu, jak się rozrasta dziewięciornik? Oto zrazu widać tylko te liście, piękne wprawdzie, ale takie odstraszające, bo takie kolczaste. Wyglądają jak macki sięgające coraz to dalej i coraz to szerzej. W końcu, w samym środku zaczyna pojawiać się kwiat. Dziwny jakiś, jak gdyby nierealny. W miarę jak kwiat się rozwija ,liście zaczynają się kurczyć, rzekłbyś wciągają w siebie kolce. Wtedy mamy wykończoną całość. Koronkową oprawę otaczającą serce rozchylonego kwiatu, który — gdy się go zerwie — już nie zwiędnie... nigdy. Lecz, aby móc go serwać, trzeba sięgnąć ręką do korzenia.

Takim kwiatem jest właśnie umartwienie. Wiem dobrze, iż nawet Ty, która tak po Bożemu myślisz i czujesz, wzdrygniesz się zlekka na to słowo: umartwienie. Bo trzeba przy-

znać, iż mało kto lubi to słowo, gdyż bardzo mało kto je rozumie. Gdyby je rozumiano — to każdy musiałby je automatycznie pokochać. Bo umartwienie jest przecież wykwitem najradośniejszej z cnót.

Może zapytasz mnie jaka właściwie jest różnica pomiędzy umartwieniem, a wyrzeczeniem się siebie. Jest. I to bardzo istotna. Wyrzeczenie się siebie może być cnotą czysto naturalną. Wszak nawet cnoty teologiczne posiadają swą postać czysto przyrodzoną. Któż z nas nie znał ludzi, którzy nie wierząc w Boga, wierzą w różne wzniosłe i piękne idee, w imię tych idei miłują bliźnich, a w nadziei ulżenia doli tychże bliźnich, dla ich dobra wyrzekają się siebie? Natomiast umartwienie jest sprawą czysto nadprzyrodzoną. O jej nadprzyrodzoności decyduje intencja. A mianowicie świadome i dobrowolne złączenie cierpień płynących z wyrzeczenia się siebie z zasługami Męki Chrystusowej, ku odkupieniu ludzkości. Można wyobrazić sobie wyrzeczenie się siebie wyrastające z nadziei opartej o czysto ziemskie i doczesne kalkulacje. Natomiast kalkulacje umartwienia mogą być tylko nieskończone jak wieczność.

Wiemy, iż św. Paweł powiedział, że każdy z członów Mistycznego Ciała Chrystusowego musi uzupełnić w sobie to, co niedostawa Męce Jego Głowy.

Każdy z nas musi to uczynić na swoistą, własną niepowtarzalną modłę. Ale jasne jest, iż na to, by ów indywidualny niezastąpiony wkład każdego z nas w dzieło Odkupienia mógł dostąpić zaszczytu zjednoczenia z dziełem Chrystusowym musi być on nie tylko dobrowolny i świadomy, ale również dobrowolnie i świadomie ofiarowany Bogu w tej intencji. Taką intencję należy odnawiać codziennie w chwili Ofiarowania w czasie Mszy św. Ale najlepiej jest takie „Wielkie Ofiarowanie" zrobić z góry raz na zawsze. Tak czynią zakonnicy składając swe śluby. I czynić winni małżonkowie, którzy choć w inny sposób, lecz w nie mniejszej mierze są powołami do współuczestnictwa w zbawczej Męce Chrystusowej.

Wszak ludzie żyjący w małżeństwie stanowią największy liczebnie odłam Mistycznego Ciała Chrystusowego. Pomyśl więc jak olbrzymia jest suma wyrzeczenia się i cierpień, które giną bezpłodnie dla żywota wiecznego, dlatego tylko, iż nie stały się umartwieniem. Zgroza nas ogarnia, gdy słyszymy, iż istnieją kraje i systemy gospodarcze, które topią zboże i inne środki żywności, podczas, gdy miliony ludzi giną z głodu. Ta sama zgroza, spotęgowana w nieskończoność, ogarnia mnie ilekroć pomyślę o tym ile heroizmu, cierpień i zasług marnuje się tylko dlatego, że ludzie w małżeństwie żyjący nie pojmują wartości umartwienia. A tymczasem dusze giną z głodu Boga, podczas, gdy te zmarnowane cierpienia mogły wysłużyć im łaskę.

Wydaje mi się, iż od umieszczenia sprawy wyrzeczenia się siebie — nieodłącznego od każdego w ogóle małżeństwa — na płaszczyźnie umartwienia zawisło właściwie wszystko co ma jakikolwiek związek zarówno ze świętością jak i ze szczęściem w małżeństwie. Weźmijmy więc naj-

pierw szczęście. Jeśli wyrzeczenie się siebie będzie podyktowane tylko ludzką miłością, doczesnymi względami, będzie ono nieodłączne od pragnienia wdzięczności, rewanżu, lub chociażby uznania. A jeśli ofiarność nie otrzyma równoważnej odpłaty — jakże często przeradza się w rozgoryczenie i żal do najbliższych. Takie podejście do wyrzeczenia się siebie przypomina chwytanie dziewięciornika za kolczaste liście. Kończy się to okrwawieniem palców a kolczaste rośliny i tak się nie zerwie. Natomiast gdy każde cierpienie (a jest ich takie mnóstwo w małżeńskim życiu! I to tak nieprzewidzianych, tak rozlicznych!) ujmiemy za korzeń Nadziei, można śmiało rzec, iż prawie że nie poczujemy kolców. Bo cóż znaczą ludzkie uznanie i ludzka wdzięczność wobec obietnic nadziei? Skoro dla tych obietnic cierpimy, skoro odpłatą naszą ma być wdzięczność Boga i dusze braci dalekich, może nawet nieznanych, które tym cierpieniem uratujemy od zguby to nie możemy inaczej jak radować się, tą radością promieniować na otoczenie, nie bacząc na to, czy spotka nas uznanie, czy niewdzięczność.

A jeśli chodzi o tę świętość w małżeństwie, która tak uporczywie bywa zapoznawana — czyż nie stałaby się ona jaskrawo widoczna, gdyby wszystka męka, którą małżeństwo za sobą pociąga, straciła swój charakter „dopustu Bożego", kaźni, której małżonkowie podlegają z buntem w sercu, z nienawiścią i pragnieniem ucieczki, a w najlepszym razie z przygnębieniem i rezygnacją — a przyoblekła się w liturgiczną szatę odkupieńczej ofiary za zbawienie tej ludzkości, która się poprzez małżeństwo odradza? Przecież na to, by cała męka, cały ból, wszystkie cierpienia małżeńskiego powołania stały się udziałem w dziele Odkupienia nie potrzeba prawie że nic dodawać do wymagań czysto przyrodzonej ofiarności. Lecz te wymagania trzeba ożywić krwiobiegiem miłosnej intencji. Nieunikniona, tępa katorga stanie się wówczas dobrowolnym męczeństwem, opromienionym tęczą apoteozy.

Wiem dobrze, iż zbyt duża jest już Twoja wiedza o sprawach Bożych, byś miała umartwienie kojarzyć tylko z postem, włosienicą i biczowaniem. Chociaż i te, acz w innej postaci, znajdziesz niezawodnie w małżeństwie. Twoim postem nie będzie może suszenie o chlebie i wodzie, ale odmawianie sobie wszystkiego co smaczniejsze, lepsze, wygodniejsze, milsze, by oddać mężowi i dzieciom. A oddając, nie czyń tego li tylko po to, by im dogodzić i dlatego, że ich kochasz. Lecz czyń to z myślą o odkupieńczym dziele Chrystusowym. Włosienicą Twą będzie ustawiczny, denerwujący harmider stworzony przez gromadkę hałaśliwych dzieci, materialne kłopoty, rezygnacja — często tak dotkliwie upokarzająca dla kobiety z ładnego wyglądu, lub przyzwoitego ubrania. Cierpienia złączone z noszeniem i rodzeniem dzieci, trud wychowywania ich, niezliczone rany serca krwawiącego pod chłostą niewdzięczności, bezmyślności, lub zdrady ze strony najbliższych — z pewnością wytrzymają zwycięsko konkurencję z najsroższą dyscypliną.

Sposobności do umartwienia znaczą każdy krok małżeńskiej drogi ku świętości. Gdy na wszystkie odcinki tej drogi będziesz patrzyła czystymi źrenicami serca, gdy w świetle swego ślubu posłuszeństwa wszystkim żądaniom Bożym, rozpoznawać będziesz wszystkie szczegóły trasy, którą Cię prowadzi wola Boża, gdy będziesz pilnie nadsłuchiwała błagalnego szeptu „Pani Biedy", sądzę, iż gdy dojdziesz do mety, okaże się, żeś zebrała plon odkupieńczego cierpienia, równy plonowi wielu męczenników.

Ale chciałbym wspomnieć o jednej sposobności do umartwienia, mało dostrzeżonej, a bodajże najdotkliwszej dla tych, którzy, jak Ty, miłują Boga nade wszystko. Mam na myśli cierpienie spowodowane tym, iż na pozór stoimy dalej od Boga, niżeli ci, którzy Mu są wyłącznie poświęceni. Tym, że sama forma naszego życia w świecie wśród rozlicznych spraw zewnętrznych rzekomo uniemożliwia nam ustawiczne i swobodne obcowanie z Nim, jakie jest udziałem zakonników. Jakże często będzie Cię serce bolało, aż do płaczu, gdy miesiącami całymi będziesz się musiała zadowolić aktami strzelistymi, przelotnym wyznaniem miłości, co najwyżej pośpieszną, półgodzinną obecnością na Mszy św. podczas gdy pożerać Cię będzie pragnienie długotrwałej, skupionej modlitwy, czy niezmąconej kontemplacji

Jak każda sprawa wielka i trudna sprowadza ona częsta na manowce. — Częstokroć zaprzepaszcza całą swą wartość przez ucieczkę od obowiązków dla dogodzenia sercu (dewotki zaniedbujące dom i rodzinę, by przesiadywać w kościele). To znów przeradza się w rozgoryczenie, jakiś żal do Pana Boga, wreszcie odwrócenie się od Niego. A przecież, ażeby się dowiedzieć jak to cierpienie przekuć na najczystsze złoto umartwienia, wystarczy przypomnieć sobie, iż i tu mamy za patronkę... Maryję!

Nie dziw się, Krysiu! Tak, Maryję, najczystszą Dziewicę, Bożą. Przypominasz sobie tę scenę z Ewangelii, gdy Chrystusowi Panu doniesiono, iż przed domem, w którym znajduje się z uczniami, czeka Jego Matka. Zamiast wybiec na Jej spotkanie, lub kazać szeroko otworzyć przed Nią drzwi, Jezus odparł: „Kto czyni Wolę Ojca Mego, który jest w niebie, ten mi jest matką i siostrą i bratem!" Tymi słowami powierzył Jej dowództwo nad tą rzeszą nieprzebraną, której na pozór nie dopuszcza do zamkniętego przybytku ustawicznego sam na sam ze sobą, lecz jak gdyby odsuwa od siebie, by szła walczyć o sprawy Ojca i pracować w Jego winnicy. Gdy tęsknotę naszą do ciągłej obecności Bożej będziemy koili i krzepili myślą, że na czele nas wszystkich, podobnie czujących i tęskniących, stoi Ona, Hetmanka świętych, gdy Jej kierownictwu oddamy się bez zastrzeżeń, wówczas znajdziemy bez trudu tę drogę, wprawdzie trudną i stromą, ale niezawodną, która nas zawiedzie na szczyty umartwienia duszy, wymijając zarówno zaniedbywanie obowiązków dla obcowania z Bogiem jak i odsunięcie się od Boga pod naporem obowiązków.

Jan Rybałt.

STASIU SAM ZDEJMUJE PŁASZCZ

— Mamusiu, załóż mi szelki!

Elżbieta z matczyną cierpliwością spełniła polecenie sześcioletniego jedynaka.

— Zaczekaj Stasiu, zasznuruję ci jeszcze buciki.

Uklękła u stóp synka, a on nic, ani drgnął. Włożyła mu jeszcze bluzkę, czapkę na głowę.

— No idź już pobawić się do ogródka, tylko ostrożnie...

Trzask raptownie zamykanych drzwi, stukot nóg i... cisza.

— Oj niedobrze Elżbieto z twoim synkiem — odezwała się pani Jadwiga, niemy dotąd świadek tej sceny.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Tyle z nim mam kłopotu. Nic sam nie potrafi uczynić, ani się ubrać, ani zjeść, ani iść spać. Wprost opadam z sił.

— Sama jesteś temu winna.

— Ja? — Pytanie było syntezą zdumienia i wyrzutu. — Przecież co mogę, to robię.

— Właśnie dlatego, że za dużo robisz, jesteś temu winna.

— Nie rozumiem ciebie. To dziecko ma być brudne, nie umyte, nie ubrane, głodne?

— A kto ci powiedział, że takie ma być? W każdym razie nie ja. Twierdzę tylko, że te rzeczy nie powinnaś czynić ty, tylko...

— ...Tylko ojciec może? — przerwała gwałtownie Elżbieta. — On na to, ani palcem w bucie nie kiwnie.

— ...ani ojciec, tylko sam Stasiu!

— Stasiu? — tym razem w pytaniu łączyło się zdziwienie z uczuciem Kolumba, w chwili odkrycia Ameryki.

— To nic nadzwyczajnego, moja droga — mówiła dalej Jadwiga. — Jeżeli bym chciała szukać przyczyny takiego stanu, to bym wskazała na... miłość...

— Tego, że nie kocham swojego Stasia, nie weprzesz we mnie za żadne skarby. Kocham go szalenie.

— Nie, nie jego kochasz, tylko siebie w nim. Dlatego miłość twoja jest krótko-wzroczna, nieprzewidująca, na dzień dzisiejszy.

— Wytłumacz to szerzej.

— Przez ustawiczne posługiwanie dziecku, przez wyręczanie go w najprymitywniejszych zajęciach, pozbawiasz go samodzielności, czynisz mu przez to krzywdę. Z drugiej strony, przyznaj szczerze, że czujesz zadowolenie, kiedy dziecko zwraca się do ciebie w każdej chwili, o najdrobniejszą rzecz. Wtenczas odczuwasz, że to twoje dziecko, że jesteś mu potrzebna, a w ten sposób czynisz z własnego dziecka człowieka niezaradnego. Musisz pamiętać, że twój Stasiu, to samodzielna istota, osoba, to nowy człowiek. I nie ma różnicy co do osobowości u dziecka, a u człowieka dorosłego. I dlatego twój syn, jeżeli już jako dziecko nie nabędzie pewnych cech czy przymiotów, nie nabędzie ich i jako człowiek dorosły. Szczególnie, jeżeli chodzi o samodzielność. Przecież Stasiu nie będzie maleńkim przez całe życie, a ty nie będziesz stale z nim przebywała. Kiedyś musi pracować samodzielnie. Ale jeśli przez nadgorliwość nie pozwolisz mu nic teraz zrobić, jeśli go we wszystkim wyręczasz, to wtenczas wyrośnie z niego „mamisynek", mały dyktator, który będzie się uważał za ośrodek świata, któremu powinni wszyscy służyć i dla niego pracować. Gorzej, że nikt jego „praw" do tego, nie będzie chciał uznać. Ileż taki człowiek zazna w swym życiu upokorzeń, ileż przeżyje zawodów, ileż poniesie klęsk życiowych i to przez co? przez to, że matka za dużo go kochała, że go rozpieszczała, że nie pozwoliła mu nic robić. Znasz pana Rogerskiego, tego starego kawalera. Patrz na jego palto bez guzików, na nieogoloną twarz, na poplamione ubranie, na nieoczyszczone od roku buty, na postrzępione spodnie. Mądry człowiek, przecież profesor, a taki nieporadny. Za obecny jego stan winna właśnie matka, która wszystko za

niego robiła. A jak ona umarła... — rozłożył bezradnie ręce — ani żony nie znalazł, bo mama nie poszukała, nie oświadczył się, itd.

— Może i masz rację. Przyznam ci się, że i mnie nie raz ogarnia lęk o Stasia. Kiedy widzę, jak jego rówieśnicy bez zachęty jedzą, aż radość bierze jaki apetyt, jacy są energiczni, nawet jak się biją, a z drugiej strony jak zobaczę mego Stasia lękliwie trzymającego się mego fartuszka, to trochę i wstyd mnie za niego. Poradź, co mam robić...

— Przede wszystkim musisz nauczyć Stasia pracować. Niech spróbuje oczyścić swoje buciki, ubranko. Pierwszy raz źle oczyści, niedokładnie, to zwróć mu uwagę, popraw, drugi raz będzie lepiej, to wtenczas pochwal, zachęć do dalszych postępów. Pod twoją kontrolą, ale tylko kontrolą niech się sam ubiera, zapnie dokładnie guziki, uczesze włosy. Kiedy się rozbiera przypilnuj, aby starannie poskładał swoje ubranie, położył w swoim miejscu. Tak samo powinien bez twojej pomocy myć się, czyścić zęby, dbać o czystość paznokci. A przede wszystkim przyzwyczajaj go do regularnego życia. Wyznacz mu dokładną godzinę wstawania, np. o 7 rano. I od razu po przebudzeniu przez ciebie, niech wstanie. Nie pozwalać mu na przewracanie się z boku na bok w łóżku. Następnie niech sam się umyje, ubierze, uczesze, uklęknie, zmówi pacierz, zje śniadanie przez ciebie przygotowane itd... Niech się nauczy sam jeść, bez niczyjej pomocy, posługiwać się łyżką, widelcem, nożem. W ten sposób wychowasz go na człowieka, samodzielnego, karnego człowieka. Co więcej. Trzeba dziecku powierzyć jakieś stałe zajęcie w domu. Na przykład pielęgnowanie kwiatów, karmienie rybek czy kanarka. Posługiwać się nim w drobnych zajęciach. Kazać mu podać zapałki ojcu, przynieść ze sklepu chleb, papierosy, gazetę itd. Dziecko tym się cieszy, a z drugiej strony jest to mu pomocne w rozwijaniu się. Naturalnie, nie trzeba w tym przesadzać i za dużo wymagać od dziecka. Chodzi tu przede wszystkim o wyrobienie już od dziecka odpowiedniej postawy w stosunku do życia, aby wiedziało, że żyć to służyć, a służyć człowiekowi, to nie hańba, ale obowiązek i radość.

W tej chwili wpadł zadyszany Stasio.

— Mamo, zdejm mi płaszcz. — Pani Elżbieta już chciała wykonać życzenie syna, tylko ruch głowy pani Jadwigi zatrzymał ją.

— Zdejm sam płaszcz.

Stasiu podniósł zdziwione oczy na matkę.

— No, odepnij guziki i zdejm płaszcz.

Stasiu zaczął lękliwie manipulować paluszkami koło guzika. Odpiął jeden, drugi, trzeci i ostatni czwarty. Teraz skurczył prawą rękę, przeginając całe ciało w przeciwną stronę. Uwolnił z płaszcza już jedną rękę. Wolną ręką uchwycił za wieszak płaszcza. Obrót kolisty prawej ręki z płaszczem i całe okrycie spoczęło w rękach bohatera.

— Teraz powieś płaszcz na wieszaku.

Za mały Stasio. Myśli. Przysuwa krzesło, spina się z trudem, wspiął się na paluszkach i... płaszcz wisi. Radośnie zeskoczył z krzesła. Był dumny z siebie. A matka jego zrozumiała, że w tej chwili stało się coś wielkiego, że syn poznał, że jest ...sobą!

Bożenna Mirska

PRAWDA

Swiat cały należy do tego —
Który umie ukochać ziemi cud —
I bożej wszechmocy ludzkim rozumem
Nieobjęty krąg —
Bo w bezpodzielną własność
Bierze się miłością,
A nie hipotetycznych
Prawem ksiąg —
— — — — — — — —

Nic nie posiadam —
A wszystko w koło mam —
I do mnie świat należy —
gdy we wdzięcznym „hosanna"
Moja dusza tonie
A oczy natury piękna krasą poję
I wszystko na ziemi jest moje —
Gdy całe serce dam —

Michalina Janoszanka

GOSPODARSTWO RODZINNE

Uspołecznienie oznacza zsolidaryzowanie się człowieka ze społeczeństwem; przeciwstawieniem jego jest indywidualizm. Indywidualistów wychowują rodziny, w których zbyt mało uwagi poświęca się tym zagadnieniom.

Są matki i ojcowie, którzy, nie wiedząc o tym, wychowują takich indywidualistów. Troszczą się jedynie o to, aby dziecku niczego nie brakowało, aby było syte i ładnie ubrane, aby miało zabawki i przyjemności. W swej bezkrytycznej dobroci i miłości wyrzekają się sami nawet najniezbędniejszych rzeczy, a dziecko o tym nawet nie wie i stopniowo przyzwyczaja się do myśli, że jest czymś lepszym od innych, że jego życzenie jest prawem dla rodziców. W takiej rodzinie dzieci nie wiedzą często nic o pracy ojca i matki, nie mają pojęcia o jej trudnościach, jej znaczeniu i jej pożytku społecznym. O pracy innych ludzi tym bardziej nic nie wiedzą, nie obchodzi ich nic poza własnymi życzeniami i przyjemnościami.

Jest to wychowanie wadliwe i szkodliwe, które najwięcej zmartwień przyczyni samym rodzicom.

1. Trzeba, aby dziecko jak najwcześniej wiedziało, gdzie pracują jego rodzice, na czym polega ich praca, jakie łączą się z nią trudności i wysiłki, jakie są jej osiągnięcia. Niech wie, co wytwarza ojciec czy matka, jakie znaczenie ma ta wytwórczość dla społeczeństwa. Niech poznaje przy pierwszej okazji kolegów rodziców i współtowarzyszów pracy i dowie się czegoś również o ich pracy. Jeżeli nawet rodzice oceniają kogoś spośród nichniepochlebnie, nie trzeba wypowiadać takich opinii wobec młodszych dzieci. Naturalnie, trzeba opowiadać dzieciom również o fabryce, niech wiedzą, co się tam robi i jakie to ma znaczenie. Niech zdają sobie sprawę, że pieniądze,' które rodzice przynoszą do domu, to nie tylko praktyczny środek wymiany, ale i zapłata za ciężką i pożyteczną pracę społeczną. Trzeba umieć znaleźć czas i proste słowa, w jakich o tych wszystkich sprawach należy opowiedzieć dzieciom.

2. Trzeba jak najwcześniej zaznajomić dzieci z wysokością zarobków ojca i matki, z budżetem domowym, w którego układaniu powinny one również stopniowo brać udział. Powinny wiedzieć, jakie są potrzeby rodziców, orientować się, do jakiego stopnia są ważne i pilne, powinny umieć wyrzec się czasami zaspokojenia własnych potrzeb, aby inni członkowie rodziny mogli lepiej zaspokoić swoje. Zwłaszcza powinny dzieci brać udział w rozważaniu zagadnień dotyczących wspólnych potrzeb całej rodziny, jak kupno naczyń stołowych, czy mebli, aparatu radiowego książek, pism itd.
dobry, nie można dopuszczać, aby dzieci

3. Jeżeli stan materialny rodzinny jest chwaliły się tym przed innymi, aby przywykły pysznić się swym ubraniem czy mieszkaniem. Muszą zrozumieć, że zamożność rodziny nie jest powodem chełpienia się. W takich dostatnio żyjących rodzinach nie należy przede wszystkim zaspokajać nadprogramowych potrzeb dzieci, a raczej — wydawać pieniądze na potrzeby całej rodziny; lepiej kupować książki niż zbędne ubrania.

Jeżeli zaś jest inaczej, jeżeli z różnych powodów rodzina z trudem wiąże koniec z końcem, trzeba starać się o to, żeby dzieci nie zazdrościły innym rodzicom. Niech rozumieją, że można być dumnym raczej z uporczywej walki o lepsze życie niż z nadmiaru pieniędzy. Właśnie w takiej rodzinie trzeba kształcić dążenie do lepszej przyszłości, wzajemną ustępliwość, pogodną gotowość podzielenia się z kolegami. Rodzice nie powinni nigdy narzekać i biadać w obecności dzieci, powinni w miarę możności okazywać wesołość i pogodę, mieć zawsze nadzieję lepszego jutra, dążyć doń, starając się ulepszyć gospodarstwo domowistą zmianę na lepsze trzeba koniecznie we i zarobić więcej. Każdą zaś rzeczyzaznaczyć i podkreślić.

Uczciwość nie spada z nieba, musi może ono wyrobić również nieuczciwość, ją wyrobić wychowanie domowe. Ale zależnie odmetod stosowanych przez rodziców. Nieuczciwością jest postępowanie skryte i wykrętne. Jeżeli dziecko ma chęć na jabłko i otwarcie o tym powie, będzie to postępowanie uczciwe. Jeżeli zatai to pragnienie, przy tym jednak nie zrezygnuje z jabłka, ale postara się wziąć je wtedy gdy nikt nie widzi, będzie to już nieuczciwością. Matka, dając dziecku owo jabłko w tajemnicy przed innymi, choćby nawet obcymi dziećmi, uczy je ukrywać prawdę, a zatem wychowuje w nieuczciwości. Ukrywanie niektórych przedmiotów domowego użytku, prywatne sekrety gospodarskie, dokarmianie dziecka po kątach lub chowanie dla niego najlepszych kąsków — wszystko to jest zarodkiem nieuczciwości. Dzieci dopiero gdy podrosną powinny nauczyć się, że są rzeczy, które należy zachować w tajemnicy — te mianowicie, których nie powinno się wy- i te, które powinny pozostać własnym jawiać wrogom i ludziom obojętnym — przeżyciem każdego człowieka. We wczesnym zaś dzieciństwie im większa otwartość u dziecka, im mniej jakichkolwiek sekretów, tym lepiej.

Rodzice powinni zwrócić baczną uwagę na wyrobienie w dziecku uczciwości. Nie trzeba nic specjalnie chować przed dziećmi, lecz trzeba je przyzwyczajać, żeby nie brały bez pozwolenia nawet tego, co leży na wierzchu, co nie jest zamknięte ani schowane. Można umyślnie pozostawić na widoku różne ponętne przedmioty, lecz trzeba przyzwyczaić dzieci, aby patrzyły na nie spokojnie, bez chciwego pożądania. Ten powściągliwy stosunek do rzeczy leżących w łatwo dostępnym miejscu trzeba wyrabiać od najmłodszych lat. Jeżeli do piątego roku życia dziecka nie myśli się o wpojeniu uczciwości, bardzo trudno odrobić później to zaniedbanie. Trzeba jednak równocześnie uważać, żeby w do- rzeczy leżą gdzie bądź, nie ma nad nimi mu nie było nieładu. Jeżeli wszystkie żadnej kontroli, nikt nie pamięta, gdzie co położył, dzieci bardzo łatwo przyzwyczajają się do niedbałego i samowolnego obchodzenia się z rzeczami, nikomu z tego nie zdając sprawy, a tym samym przyzwyczajają się do nierzetelnego postępowania. Jeżeli polecacie dziecku załatwić jakiś sprawunek, powinniście koniecznie sprawdzić, co kupi i ile wyda pieniędzy; trzeba tak robić dopóty, dopóki w dziecku nie ugruntują się mocno zasady rzetelności — ale zarazem z wielką delikatnością, żeby ta kontrola nie nasuwała dziecku przypuszczenia, że się je o coś podejrzewa.

MATKA

Już północ bije na zegarze, gdy nareszcie Anna składa robotę i podnosi się z miejsca. Osłaniając starannie lampę, przesuwa się z kuchni do pokoju, gdzie pochyla się nad śpiącym chłopczykiem, z niepokojem śledząc przyspieszony oddech małego. Drżącą ze zmęczenia ręką odmierza na łyżeczkę krople lekarstwa i wsuwa ostrożnie do spalonych gorączką warg. — „Mamo" — dziecko porusza się niespokojnie, otwiera swe duże, nieprzytomne ze snu oczy.

Śpij, dziecinko, śpij — do rana daleko — otula go kołderką, a potem przyklęka przy łóżeczku do wieczornego pacierza.

Plączą się słowa modlitwy z ogromnego znużenia. Już tylko sercem prosi o pomoc, o uzdrowienie dla tego jedynego swego dziecka, jedynej w życiu pociechy. Przytłumiony codzienną pracą niepokój i smutek zdają się wypełzać z mrocznych ścian pokoju, usidlać wyczerpaną kobietę. Nie ma już sił wyjść im naprzeciw, walczyć mocą modlitwy.

Anna zdaje sobie jasno sprawę, że czas najwyższy udać się na spoczynek. Jutro od wczesnych godzin porannych znów zacznie się walka z bezustanną, niepokojącą myślą o chorym dziecku, powierzonym dorywczej opiece sąsiadki, a potem wieczorne krzątanie wokół wątłego i wciąż zapadającego na zdrowiu dziecka. Przywykła do tej walki od lat kilku. Od śmierci męża nie zna innego życia.

Nazajutrz towarzyszki w fabryce widząc ją krańcowo wyczerpaną, omal, że słaniającą się na nogach, litując się nad jej niedolą, postanawiają jednomyślnie dopuścić szturm ostateczny i zwycięski. — „A tyle już razy mówiłyśmy — oddajcie małego do szpitala, patrzcie jak wyglądacie — zabraknie wam sił". I otaczając ją zwartym kołem przekrzykując się nawzajem, z zapałem zaczynają wysuwać coraz to nowe argumenty mające uzasadnić słuszność wysuwanego projektu. Wszystkim tym dobrym kobietom było żal wynędzniałej towarzyszki.

Słowa ich nie czynią jednak na Annie odpowiedniego wrażenia. Wciąż przecząco potrząsa głową. Zrozumcie — broni się błagalnie — nie mogę tego uczynić, może później, jeśli już zajdzie konieczna potrzeba. Teraz sama chcę być przy nim.

Kręcąc głowami kobiety zwolna rozchodzą się do krosien. I Anna codziennym zwyczajem staje przy swoich.

Uchodzące dnie układają się w tygodnie. Najcięższa do przetrwania pora zimowa zwolna przesuwa się w przedwiośnie. Ożywcze promienie słońca zdają się budzić nowe życie na pobladłej twarzyczce chorego chłopczyny. Zaczynają go zajmować rozkwitające na oknie kwiaty, świergocące za nim wróble.

Mamo — mówi — wiosna. Ja chcę biegać — jak inne dzieci.

Będziesz Michasiu niedługo — zapewnia go matka, ze wzruszeniem gładząc jasną główinę.

Przychodzi ranek, gdy Michaś po raz pierwszy po chorobie odchodzi do szkoły. Anna wiedzie go do niej sama, a po drodze prowadzi do kościoła na dziękczynną modlitwę. Nie pomni już wiele razy przychodziła tutaj sama, błagając o jasną dolę dla tego swego ukochanego dziecka, dla jego szczęścia ofiarowując Bogu wszystkie smutki i cierpienia swego ciężkiego życia.

A potem rozchodzą się ich drogi. Michaś otoczony gronem witających go kolegów znika w budynku szkolnym, a Anna odchodzi do swej pracy fabrycznej.

I znów płyną bezbarwne, jednostajne dni, lecz twarz Anny prześwietlona jest wewnętrzną radością. Własnym wysiłkiem wyratowała syna.

Często myśli o tym, jak pragnęłaby zawsze tak stać u jego boku, usuwać od niego wszelkie cierpienia i smutki. Wie, że kiedyś stanie się to niemożliwością, więc gorąca jej modlitwa biegnie do nieba, na wyproszenie mu najpiękniejszej drogi życia, pełnej Bożej pomocy i błogosławieństwa...

Michaś rośnie szybko, rozwija się fizycznie i umysłowo. Żywa inteligencja ułatwia mu zdobywanie wiedzy, której z wiekiem żądny jest coraz to więcej. Zalety jego umysłu i serca zdobywają mu licznych przyjaciół i stają się powodem chluby i radości matki. Patrząc na syna nie żałuje przebytych dla niego trudów i trosk. Przyniosły tak piękne owoce.

I podczas gdy Michaś idzie ku pełni życia, osiągając coraz to większe jego wartości, ona wolno schodzi z jego ścieżek. Skronie jej pokrywają się siwizną oczy tracą siły i blask młodości. Znużona już czuje się bardzo. Lecz oto ma syna — dumę i przyszłą podporę swej starości. Już teraz wedle swych sił staje się jej pomocą. Lekcjami zdobywa środki na swe utrzymanie. Nie pozwala by matka męczyła się po nocach. Anna marzy o spokojnej przyszłości. Zdolności Michasia upoważniają ją do tego. Widzi go w wyobraźni na jakimś dobrym stanowisku, otoczonego uznaniem i szacunkiem ludzi, siebie w jego skromnym, schludnym domku, wśród kwiatów, bez większych dostatków może, lecz w spokojnej do końca swych dni egzystencji. Bo wszak wie,

że Michaś nigdy o niej nie zapomni. Otacza ją przecież tak serdeczną, tkliwą miłością. Jest taki nad wiek poważny. Czy to widok jej twardego życia uczynił go takim, czy wpajane mu przez nią zasady? — Zastanawia się nieraz nad głęboką zadumą, osiadającą często na czystym, myślącym czole chłopca.

Od jakiegoś czasu nie podziela on jej rojeń o wspólnej przyszłości. Słucha ich niechętnie z oporem. Przejmują go rozdrażnieniem i smutkiem. Anna widzi to wyraźnie, choć nie umie doctec przyczyny. Pytać nie chce. Może sam kiedyś zwierzy jej tajemnicę swego chłopięcego serca.

I chwila ta istotnie nadchodzi — zupełnie nieoczekiwanie.

Któregoś wieczora, powróciwszy do domu, klęka przed matką, wyjmując z jej rąk robotę. „Mamo... muszę ci coś powiedzieć.

Jedna z uwolnionych jej dłoni składa się na pochyloną jego głowę. Mów synku.

Mamo — nie wiem jak ty to przyjmiesz — walczę z tym od dawna. Postanowiłem zostać — kapłanem!

Podnosi z nad kolan jego głowę i patrzy głęboko, do dna w jego przejrzyste, nie znające zła oczy.

Pragniesz tego... niezłomnie?

Tak, mamo. Myślałem o tym wiele. Wszak sama mnie uczyłaś, że najważniejszym celem jest umiłowanie Boga. A czymże można Go ukochać więcej, jak oddając w służbę jego, całe swe życie?

A powołanie?

Spowiednik mówi, że je posiadam. Nie wspominałem ci o tym mamo, bo chciałem się utwierdzić, a potem... przecież to znaczy zburzenie twych marzeń na lata całe.

To... nie ma znaczenia synku Jeśli cię Bóg powołał, będę nad miarę szczęśliwą. Niech On ci błogosławi, jak ja to czynię w tej chwili.

Na jasnym jego czole kreśli znak krzyża. Oczy obojga są pełne łez.

— — — — — — — —

Wszak sama mię uczyłaś, że największym celem jest ukochanie Boga. Oto słowa syna wypowiedziane w doniosłej chwili. — Pamiętą, wpajała mu je od lat najmłodszych, starała popierać własnym przykładem. I oto zapadły w jego serce, rosły z nim razem, by oto bez jej wiedzy przejść w czyn ofiary całopalnej. I ta jej ustawiczna modlitwa — o najpiękniejszą dla niego drogę życia, okupioną własnym cierpieniem. Nie myślała wówczas o takiej, lecz czyż może istnieć piękniejsze? Bóg ponad wszelkie spodziewanie, wysłuchał...

Te ostatnie lata podczas jego pobytu w seminarium, pełne zmagań z losem samotności, tęsknoty, ukrywanych przed nim, by nie załamały jego postanowień, ciągła czujna, uśmiechnięta zachęta z jej ust, do wytrwania — a potem ten cios ostatni, jego decyzja wstąpienia do zakonu. Krzyż niesiony z nim razem dla Zbawiciela...

Oto unosi się On w tej chwili w monstrancji, wniesiony w górę rękoma jej syna, w prymicyjnej Mszy świętej. — „O Chryste, Chryste" — załamuje się w strumieniu łez bezmiar szczęścia i dziękczynienie razem. Niesposób ująć w moditwę słowa nadmiaru uczuć.

Wysuwa się z ławki, by klęknąć u balasek, gdzie syn jej zacznie rozdzielać Komunię św. Oto już schodzi ze stopni ołtarza. W chwili gdy zbliża się ku niej, promień słońca, przedzierając się przez witraż kościelny, pada złotym blaskiem na trzymaną nad kielichem Hostię. Dostrzegają to oboje. Jedną myślą wiedzeni, spotykają się spojrzeniem...

A potem Anna cicho odchodzi od balasek. Niesie z sobą, w sercu Tego, Którego podał jej syn, z pragnieniem, by na resztę jej samotnych dni stał się dla niej Wszystkim.

Maria Jelińska

MODLMY SIĘ Z MSZALIKÓW

Ośrodkiem życia religijnego jest i powinna być Msza św. Słusznie nazywają ją słońcem nabożeństw wszystkich, sercem katolicyzmu. Tym, czym Chrystus jest dla Kościoła, tym dla Kościoła jest Msza św. Czym w dziejach i misji Zbawiciela jest Ofiara Kalwarii, tym w życiu i misji Kościoła jest Msza św.

Msza św. jest momentem, w którym Chrystus nie tylko zstępuje na ołtarz, a biały opłatek staje się Jego Ciałem, ale w tej Mszy św. Chrysus się za nas ofiaruje Ojcu Niebieskiemu, tak samo — zupełnie tak samo, jak ongiś na Kalwarii — na Krzyżu.

W krótkich ceremoniach Mszy św. zawarte jest całe życie P. Jezusa. Jest tam i Jego nauka (Ewangelia) i Jego jakgdyby nowe Narodzenie się, jest Ukrzyżowanie i Ofiarowanie się Ojcu za winy świata, jest Zmartwychwstanie w Komunii św. w której Jezus nas nawiedza, jest i niejako Zesłanie Ducha św. w chwili błogosławieństwa. We Mszy św. jest zatem niejako całe życie Jezusa i cały rok kościelny. Nawet Krew Chrystusa jest, co prawda nie w bolesny sposób wylana jak na Golgocie, ale w cudowny sposób przemieniona z wina.

Stąd ceremonie mszalne Kościół zawsze starał się upiększyć, nadać im jak największą powagę i majestat. Na żadne inne nabożeństwo nie zwraca się tyle uwagi. Żadne inne bowiem nabożeństwo nie zastąpi Mszy św. Co więcej, Ofiara Mszy św. jest naturalnym obowiązkiem stworzenia wobec Stwórcy. W niej oddajemy siebie i dar największy — Jezusa Chrystusa. Wypełniamy najdoskonalej to, co czynili wszyscy ludzie wszystkich religii.

We Mszy św należy współuczestniczyć w żywy sposób, łączyć się z kapłanem a nie odstawać bezmyślnie, nie być w niej niemym widzem. Msza św. bowiem to nie przedstawienie, ale nasze oddanie się Bogu, nasza modlitwa.

Ażeby dobrze uczestniczyć we Mszy św. należy się umieć podczas niej modlić. Pożal się Boże jaka to nieraz nasza modlitwa w czasie Mszy św. Albo bezmyślne wsłuchiwanie się w głośne modlitwy kapłana, albo mechaniczne odmawianie różnych modlitw z książeczek do nabożeństwa, albo zautomatyzowane modlenie się na różańcu. A więc wszystko tylko nie Msza św.

Przecież Msza św. jest osobnym nabożeństwem, a jako takie posiada własne, osobne modlitwy. Tak jak własne modlitwy posiada nabożeństwo różańcowe, nieszpory, litanie itd. Stąd też uważam za rzecz niewłaściwą odmawiać w czasie Mszy św. modlitwy niemające ścisłego z nią związku. Przecież nikt nie odmawia modlitw mszalnych w czasie nabożeństwa różańcowego, nieszporów czy nabożeństw wieczornych.

Tymczasem nie ma modlitw wspanialszych, wznioślejszych i piękniejszych od modlitw mszalnych. Cały przebogaty skarbiec tych modlitw mieści się w mszale. Mszał rzymski jest przetłumaczony na polskie. Mamy tak zwane mszaliki z tekstami mszalnymi na niedziele i święta, czy nawet codzienne. Mszalik powinien nabyć każdy członek rodziny. Powinno się go mieć obok lub nawet zamiast książeczki do nabożeństwa. — W mszaliku bowiem mieszczą się wszystkie modlitwy. Obok modlitw mszalnych znajdziemy tam również zwykle i inne modlitwy jak np. litanie, przygotowanie do spowiedzi, Komunii św. itp.

Modlitwa mszalna jest oficjalną modlitwą Kościoła. Wszystko co tylko w skarbcu Kościoła jest najpiękniejsze i najbogatsze — znajduje się w mszale.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa wierni brali żywy udział we Mszy św. Rozumieli bowiem słowa modlitw kapłana odprawiającego Mszę św. Sami je nagłos odmawiali. Widać to jeszcze dzisiaj w przeplatanych modlitwach Kyrie elejson, w odpowiedziach kapłanowi na jego Dominus vobiscum — et cum spiritu tuo (Pan z wami — i z duchem twoim). Takich wspólnych zachęt do modlitwy jest w czasie Mszy św. dużo. Wierni tak się przyzwyczaili, że zastępują ich mini-

stronei, iż w ogóle nie reagują na słowa kapłana. Ale już w wielu kościołach w czasie Mszy św. śpiewanej lub recytowanej cały kościół odpowiada kapłanowi. Udział wiernych w takiej Mszy św. jest pełniejszy. Rzeczywisty i pełny udział we Mszy św. mamy ilekroć modlimy się wraz z kapłanem, słowami modlitw mszalnych.

Mszał składa się zasadniczo z dwu części: z modlitw tzw. niezmiennych, stale się powtarzających w każdej Mszy św. i z modlitw zmiennych na każdą niedzielę, czy święto. W każdym mszaliku mamy wprowadzające pouczenie używania mszalika — które modlitwy i w jakiej kolejności należy poszczególne modlitwy odmawiać. W początkach zapewne będą pewne trudności w posługiwaniu się mszalikiem. Z czasem jednak technikę posługiwania się opanuje bez większych trudności każdy z prawdziwą satysfakcją.

Rodzice niechaj swe dzieci zachęcają i przyuczają modlić się z mszalików. — Niechaj nie wysyłają je do kościoła na Mszę św. bez mszalika. Niech korzystają z najbliższej okazji, by dzieciom jako piękną i pożyteczną pamiątkę nabyć mszalik.

Dzieci niech proszą księży, szczególnie swych katechetów, by je nauczyli posługiwać się mszalikiem. Może z początku nie nadążą za kapłanem, ale z biegiem czasu na pewno będą wszyscy modlić się z nim równocześnie.

Dlaczego modlenie się z mszalika jest w czasie Mszy św. najwłaściwsze? Przede wszystkim dlatego, że są tam modlitwy przepisane i dostosowane do treści nabożeństwa, do jego istoty i do jego poszczególnych aktów. Po drugie, że modląc się z mszalikiem w ręku, modlimy się wespół z kapłanem, odmawiamy te same co on modlitwy, stajemy się jak gdyby drugimi kapłanami, rozumiemy całą Mszę św. i w niej rzeczywiście uczestniczymy.

Po trzecie, nie nudzimy się w czasie Mszy św. (bo i to się zdarza) Msza św. staje się naszym własnym, wewnętrznym, głębokim przeżyciem.

Po czwarte, znajdujemy w mszaliku najpiękniejsze modlitwy, całe bogactwo prawdziwie złotych myśli, wyjątki z psalmów, z pięknych rozdziałów Starego Testamentu, praktyczne, życiowe rady, ujęte w krótkie słowa. Znajdujemy tam wyrazy uczuć naszego serca, często pocieszające nas i dostosowane do stanu naszej duszy. Znajdujemy tam — lekcje i Ewangelie na niedziele, uroczystości i święta. Przemawia w nich sam Pan Jezus i Apostołowie.

Po piąte, kto się nauczy modlić z mszalika, kto mszalik ukocha, ten na pewno ukocha Mszę św i nigdy, pod żadnym warunkiem jej nie opuści. Opuszczenie jej wydawać mu się będzie nieodżałowaną stratą dla duszy.

W końcu, kto umie modlić się z mszalika uzna za nonsens propagandę inowierców, że Msze św. powinny być odprawiane w języku narodowym, aby mogły być zrozumiałe przez wiernych.

Mszalik jest książką na całe życie, jak na całe życie jest Msza św. Im więcej będzie mszalików w rodzinie, tym mniej będzie grzechów opuszczenia Mszy św. „Ani jednej niedzieli bez Mszy św., ani jednej Mszy św. bez mszalika.

Z.

ISTNIEJĄ DWA RODZAJE ŻYCIA: ŻYCIE CIAŁA I ŻYCIE DUSZY. JAK DUSZA JEST ŻYCIEM CIAŁA, TAK BÓG JEST ŻYCIEM DUSZY. CIAŁO UMIERA, GDY DUSZA JE OPUŚCI; DUSZA ZAŚ GDY JĄ OPUŚCI BÓG.

ŚW. AUGUSTYN, IN PS. 70

MALKONTENT

Gorliwy mąż i skrzypiący wózek dziecinny — to dwa przejawy małżeńskiego pożycia, które największego nawet wielbiciela rodziny mogą do tej instytucji zrazić raz na zawsze. Mąż wiecznie niezadowolony i wiecznie zrzędzący jest, niestety, postacią często spotykaną. Wzdycha nawet przez sen, i zanim się jeszcze dobrze obudzi już coś mamrocze pod nosem. Oczywiście mamrocze z nieukontetowaniem. Czy na dworze jest ładnie, czy brzydko — dla niego jest to w gruncie rzeczy obojętne, bo i tak żadna pogoda mu nie dogodzi. Ubiera się narzekając: ubranie jest złe, albo za lekkie albo za ciepłe, albo za ciasne albo za szerokie; trzewiki go gniotą, a prócz tego są z reguły źle wyczyszczone; śniadanie jest albo za zimne, albo za gorące. O tym żeby było w sam raz — niema mowy. Nie było jeszcze takiego wypadku! Twarz mu się rozpromienia, gdy dojrzy pyłek kurzu pod stołem lub w jakimś kącie, ma wtedy powód do słusznego biadolenia; życzeń swoich nawet nie objawia, bo i poco? i tak nigdy nic nie będzie takie, jakby on chciał. Z siebie jest równie mało zadowolony jak i otoczenia. Dobry apetyt martwi go tak, jak innych brak apetytu. Zdrowie przyczynia mu więcej trosk, niż innnym choroba. Jest typowym „psujem", każdej zabawy, to też wszyscy go się obawiają i zapraszają bardzo niechętnie. W lecie dotąd narzeka na upał, aż wszystkim się wydaje, że naprawdę dostali udaru słonecznego. W zupie zawsze znajdzie muchę, na drodze zawsze potknie się o kamień; gra chmur o zachodzie słońca zawsze wydaje mu się nieładna; w każdym arcydziele zawsze wytropi jego słabe strony, zatruje każdą wesołość zakracze każdą nadzieję, każdą chwilę radości, każdy podniosły moment potrafi tak zatruć swojemi jękami, że zawsze czar pryśnie. Narzekanie jest jego ulubionym zajęciem, ulubionym sportem, i nic nie sprawia mu takiej przyjemności, jak zepsuć przyjemność drugim. Z jakąż rozkoszą gasi co roku świece choinki! Za żadną cenę nie dałby się zastąpić w tej symbolicznej czynności. I tylko jedna rzecz jest w stanie odebrać mu resztki radości życia; gdy się cierpliwie znosi jego zrzędzenie. Potrzebuje zawsze jakiegoś kolegi-malkontenta, i zawsze liczy na jego współudział, a największą złośliwością, jaką mu wyrządzić można, jest nie brać na serjo jego biadoleń.

APOSTOŁ POMORZA

Z pomroki dziejów wyłania się ku nam piękna postać św. Wojciecha. Wniknijmy w jego działalność i życie.

Pochodzi z potężnego rodu książąt czeskich Stawników. Przychodzi na świat w r. 956 jako szósty z siedmiu synów pana na Lubicach. Ojciec przeznacza go pierwotnie do stanu rycerskiego. Wybrane mu imię oznacza nawet „cieszy wojsko". Odmienne wszakże są dla niego pisane wyroki Boże. Oto bowiem gdy pewnego razu zapada niebezpiecznie na zdrowu strwożeni rodzice składają ślub poświęcenia go do stanu kapłańskiego. Odtąd też inną wytyczną przybiera jego wychowanie. Oddany pod opiekę świątłego kapłana zakonnika pod jego kierunkiem wzrasta w wiedzy i miłości Bożej, poczem dalsze studia odbiera na ziemiach niemieckich w Magdeburgu, w pozostającej pod opieką biskupa misyjnego Adalberta szkole dla przyszłych misjonarzy ziem słowiańskich.

Po dziewięcioletnim w niej pobycie wraca w rodzinne strony z otrzymanym święceniem subdiakona.

Czechy pierwotnie zaliczały się do słowiańskiego biskupstwa w Welehradzie.

Ten stan rzeczy trwał aż do końca XI wieku, poczem utrwalił się wpływ cesarzy niemieckich. Duchowieństwo czeskie poddane zostało biskupowi z Regensburga. Staraniem swym u papieża Jana XII Bolesław II dopiero uzyskuje zgodę na utworzenie odrębnego biskupstwa w Pradze. Pierwszym biskupem mianowany zostaje Dytmar, zakonnik klasztoru św. Jana w Magdeburgu znający już uprzednio Wojciecha, ceniący go za zdolności, i szlachetny charakter. Obecnie powołuje go do swego boku w charakterze sekretarza.

Po jego śmierci rozpoczynają się spory o wysunięcie na tron biskupi godnego następcy. Chodzi przede wszystkim o to by uchronić kościół czeski od zależności od Niemiec z równoczesnym zatwierdzenem biskupa przez cesarza rzymskiego Ottona II. Osoba Wojciecha, pochodzącego z rodu Sławników spokrewnionego z rodziną cesarską okazuje się do tego celu najodpowiedniejszą. Jego zatem kandydatura przechodzi większością głosów. Musi teraz dla uzyskania zgody cesarza przebywającego chwilowo we Włoszech podjąć daleką i nieszczęśliwą podróż.

W Weronie staje przed obliczem cesarza. Z rąk jego otrzymuje insygnia biskupie. W czasie ówczesnej bytności poznaje całą jego rodzinę; wśród niej zaś Ottona III podówczas małego chłopca, a późniejszego, gorąco oddanego sobie przyjaciela.

Ludność czeska tymczasem z niecierpliwością oczekuje przybycia nowego biskupa. Przyjazd jego witany jest z żywą radością. Przed bramami stolicy Wojciech na znak pokory zdejmuje obuwie i boso wchodzi do miasta.

Rozpoczyna teraz nowe życie w pałacu biskupim. Uderzające jest ono skromnością i prostotą. Oddala liczną służbę, ogranicza przyjęcia zaprowadza skupienie i ciszę. W bogatej swej sypialni sypia na ziemi w włosienicy z służącym mu za poduszkę, kamieniem pod głową, podczas gdy łoże jego zajmuje brat jego Radzym, oraz pewien niewidomy od urodzenia kaleka. Do stołu biskupiego na pamiątkę apostołów zasiada codziennie 12 nędzarzy a ułomni i żebracy otrzymują w uroczyste święta hojny zasiłek. Dochody swe obraca Wojciech na kościoły, duchowieństwo, ubogich. Twardy jest dla siebie i umartwiony; oddany niestrudzonej pracy dla chwały Bożej, uczynkom miłosierdzia. Odbywa liczne podróże apostolskie, dociera aż na Śląsk, jak np. w r. 984 do przynależnego podówczas do diecezji praskiej — Krakowa, dopiero bowiem w r. 999 za czasów Bolesława Chrobrego powstają tam nowe diecezje.

Prowadząc tak gorliwą, nie znającą kompromisów działalność duszpasterską Wojciech zraża sobie wielu dostojników. Wiele ma też utrudnień na tle politycznym. Niejednokrotnie bowiem nie jest w stanie zapobiec temu, by duchowieństwo, z którego pewna część jest niemieckiego pochodzenia, podległe arcybiskupowi Moguncji, nie chciało na korzyść Niemców; co znów podbudzało przeciw niemu nierozumiejącą sytuację ludność czeską. Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa po wybuchu wojny czesko-polskiej. Zgodne stosunki obu narodów za panowania Bolesława I ulegają zupełnemu przewrotowi po objęciu tronu przez Bolesława II. Wynikła w następstwie tego wojna jako pobratymcza potępiona jest przez Wojciecha, co znów potęguje nieporozumienie między nim a ludnością czeską. Wykupywanie zaś przez niego jeńców polskich z rąk handlarzy, czyny dokonywane jedynie z pobudek miłości bliźniego, ujęte przez opinię publiczną jako przechylanie się na stronę Polski, skłaniają Bolesława II do wstrzymana mu wypłaty dochodów celem uniemożliwienia mu dalszej w tym kierunku działalności.

W końcu rozżalony do głębi Wojciech apuszcza ojczyznę, udając się do Rzymu, przed trybunał papieski. Idzie pogrążony w dojmującym strapieniu czyniąc sobie niesłuszne wyrzuty, iż nie wypełnił podjętych zobowiązań, niewłaściwym być może podejściem, psując najważniejszą sprawę ratowania dusz. Razem z nim podążają w pielgrzymce Radzym, brat jego oraz kleryk Bogusza.

Papież przychylnie przyjmuje wędrowców, a wysłuchawszy wywodów Wojciecha uznaje w pełni ich słuszność, oraz zezwala na ewentualne złożenie przez

niego godności biskupiej. Udziela też proszonego błogosławieństwa na pielgrzymkę do ziemi św. jaka leży w późniejszych zamiarach Wojciecha. Wiadomość o niej dociera do cesarzowej. Pragnąc ją uprzystępnić posyła mu większą ilość srebra. Jednakże dar ten zostaje inaczej spożytkowany; a mianowicie rozdany pomiędzy najuboższych miasta.

I znowu Wojciech rusza przed siebie. Pragnie osiąść na czas dłuższy w zaciszu klasztornym. Czyni to na wzgórzu Awentyńskim w Rzymie. Tutaj w ciszy wśród słońca i kwiatów powoli przychodzi do siebie po wieloletnich zmaganiach. Jest mu niewymownie dobrze przy świętych i uczonych księgach, z których czerpie wiedzę i światło oraz podniosłych rozmowach z zgromadzonymi w klasztorze ludźmi różnorodnej narodowości o wybitnych umysłach i ideałach, przyszłych misjonarzy krajów słowiańskich.

Dni płyną radośnie i pogodnie. Tęskną myślą wraca do nich Wojciech wśród późniejszych strapień i znojów. A tymczasem wśród otoczenia gdzie z pogodą spełnia najniższe posługi, powoli poza jego wiedzą, ustala się mniemanie o jego świętości. Oto np. charakterystyczne zdarzenie: nosząc pewnego dnia naczynie z winem Wojciech potyka się upada. Pomimo odgłosu tłukącej się gliny, naczynie pozostaje nienaruszone co powoduje zdumienie obecnych.

Neieobecność biskupa ciąży w Czechach, gdzie pad względem moralnym dzieje się coraz gorzej. Wreszcie Bolesław II kieruje poselstwo do Rzymu z prośbą o przejednanie Wojciecha i powrót jego do kraju. Wojciechowi ciężko przychodzi porzucać życie klasztorne. Świadomość jednakże doniosłości sprawy skłania go do wyrażenia swej zgody. I oto widzimy go w drodze powrotnej do ojczyzny. Niestety tutaj czekają go nowe cierpienia. Zastaje zatarg między rodem Sławników a Werszowców. Dochodzi on do szczytu, gdy żona jednego z tych ostatnich dopuszcza się zdrady małżeńskiej. Podług ówczesnego prawa za czyn taki zagrażała jej kara śmierci. Przerażona chroni się pod opieką Wojciecha, on zaś przejęty myślą o nakłonienie jej do pokuty nie odmawia pomocy i udziela schronienia w jednym z żeńskich klasztorów. Lecz rozszalały tłum wskutek zdrady dowiaduję się o miejscu jej pobytu, dosięga nieszczęsną w kościele klasztornym i nie bacząc na świętość mejsca — zabija.

Wojciechem zajście to wstrząsa głęboko. Rozchodzi mu się zarówno o duszę zamordowanej jak i znieważenie Bożego przybytku. Żąda pokuty i zadośćuczynienia; a nie otrzymując go od Bolesława, stojącego po stronie Werszowców, rzuca klątwę na mieszkańców Pragi i ponownie opuszcza czechy, kierując swe kroki do Rzymu.

Po przybyciu na miesce osiada w tym samym co poprzednio klasztorze na Wzgórzu Awentyjskim. W podniosłej atmosferze misjonarskiego życia zaczyna i on go pragnąć i tęsknić, do korony męczeńskiej. Ponownie staje przed Papierzem i za jego zezwoleniem rusza w świat na nawracanie ludów pogańskich. Droga jego wiedzie przez Polskę gdzie gorąco zapraszany przez Bolesława Chrobrego, zatrzymuje się na dworze królewskim przez czas dłuższy. W ślad za nim podążają do Polski Benedyktyni i osiadają na stałe w Trzemieśnie, skąd przeprowadza pracę apostolską. Bolesław Chrobry pragnie zatrzymać Wojciecha na stałe w Polsce, ten jednak rwie się duszą gdzieindziej. Tymczasem odbywa po kraju misje pozostawiając po sobie w wielu miejscach niezatarte wrażenia.

Wreszcie nadchodzi upragniona chwila dalszej wędrówki do celu — jest nim kraj pomorski Prusy, zamieszkany przez dziki, zaciekły lud bałochwalczy — Wojciech rusza w drogę z towarzyszami swej pierwszej wyprawy do Rzymu bratem swym Radzynem i Boguszą, znającym język pruski. W pierwszej zaraz osadzie napotkanej po drodze doznaje wrogiego nastawienia ludności. Ruszają w głąb kraju, w stronę Chotina i tu wśród wytworzonego zbiegowiska serdeczna przemowa Wojciecha, iż przychodzą jako przyjaciele z najlepszymi zamiarami nie przynosi pożądanego skutku. Głośnym protestem i groźbą śmierci ludność Cho-

tlna zmusza przybyłych do wycofania się z osady.

Nie świadomi, iż śladami ich podąża z zamiarami zemsty, za zabicie mu przez Polaków brata, pewien Prus — misjonarze strudzeni układają się na napotkanej polanie na spoczynek. Budzi ich przeraźliwy hałas i krzyki. Okazuje się iż otoczeni są gromadą pogan z włóczniami w ręku. Skrępowani sznurami misjonarze odprowadzeni zostają na pobliskie wzgórze. Przebity włóczniami pada nieżywy, z wniesionymi do nieba rękoma Wojciech. Odcięta głowa jego zawisa na żerdzi z zamiarem wystawienia na widok ogólny. Radzyn i Bogusza cudem pozostają przy życiu. Mają oni być pośrednikami w uzyskaniu u Bolesława Chrobrego bogatego okupu za święte zwłoki.

Niebawem na granicy stykają się 2 orszaki — pruski ze szczątkami męczennika oraz polski ze srebrem. Legenda powiada, że Prusowie zażądali go tyle, ile ciało zaważy na wadze, a gdy srebro nie dorównywało ciężarowi ciała, podeszła biedna kobieta i rzuciła swój grosz wdowi, co przeważyło szalę. — Przerażeni cudem Prusowie uciekli. —

Szczątki Świętego spoczęły chwilowo w Trzemeśnie w założonym przez niego klasztorze — poczem przewiezione zostają do Gniezna. Bolesław Chrobry czyni staranie o uzyskanie tam niezależnej od Niemców Metropolii.— Fundamentem jej mają być relikwie pierwszego męczennika Polski — ówczesny cesarz niemiecki Otton III, przyjaciel św. Wojciecha, którego ten ostatni znał jeszcze z lat dziecięcych przychyla się z całą życzliwością do tego planu. W dwa lata później po dokonanej przez papieża Sylwestra II kanonizacji Świętego, Otton III przybywa osobiście do jego grobu. Przyjazd jego łączy się z szeregiem uroczystości i świetnych przyjęć na dworze polskim. — Bolesław Chrobry otrzymuje koronę królewską oraz zezwolenie na założenie arcybiskupstwa, które obejmuje Radzyn, brat św. Wojciecha

Po śmierci Mieczysława II podczas bezkrólewia udaje się Czechom podczas zamieszek zrabować cenne relikwie Świętego, natomiast mimo usilnych starań nie zdołają wywieść jego ciała. W niewiadomy sposób ginie relikwiarz z jego głową — i nie zostaje odnaleziony.

Minęły wieki. Kult Świętego, choć przyćmiony trwa w Polsce po dzień dzisiejszy.



ŻYCIE KATOLICKIE



WATYKAN

* W Wielką Sobotę Ojciec św. udzielił ogólnej audiencji w bazylijce św. Piotra kilku tysiącom pielgrzymów, którzy przybyli do Rzymu na święta Wielkanocne. Wśród wiernych znajdowało się 30 grup różnych narodowości. Ojciec św. wygłosił do zebranych przemówienie i udzielił im błogosławieństwa Apostolskiego.

* W pierwsze święto Wielkanocy Ojciec św. udzielił z balkonu bazyliki św. Piotra uroczystego błogosławieństwa Apostolskiego „Rzymowi i Światu" (Urbi te Orbi). Po błogosławieństwie przemówił krótko do zebranych tłumów wiernych (ok. 150.000) — podkreślając charakter radości i nadziei, jaki jest przywiązany do świąt Wielkanocnych. Swe przemówienie zakończył modlitwą.

* Z okazji beatyfikacji papieża Piusa X — dnia 3 czerwca — odbył się w Rzymie Kongres Kleru całego świata. Na kongresie tym były wygłaszane referaty na temat wskazań Piusa X co do powołań zadań kapłańskich.

POLSKA

* Z inicjatywy Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w auli tego uniwersytetu odbywały się w dniach od 22 do 29 kwietnia wykłady pod ogólnym tytułem „Twórczość a religia'. W skład cyklu wchodziły np. następujące referaty: Problem powieści katolickiej", „Katolicka krytyka literacka", „Poezje a religia", „Malarswo religijne .

* W Wielkanoc w bazylice św. Pawła za Murami odprawił swą mszę prymicyjną ks. Jerzy Langman. Dr Jerzy Langman, znany historyk sztuki pracował przed wojną w Muzeum Śląskim w Katowicach i przez jakiś czas był kierownikiem działu w Polskim Radio w Katowicach. W czasie wojny został uwięziony przez Niemców i wysłany do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Po wojnie udał się do Rzymu, by tam studiować teologię.

INNE KRAJE EUROPY

* W Mediolanie słynny kaznodzieja włoski wygłosił cykl kazań o Matce Bożej, przeprowadzając tzw. Krucjatę Maryjną. Było to przygotowaniem diecezji Mediolańskiej do uroczystych obchodów w związku z ogłoszeniem dogmatu o Wniebowzięciu Najśw. Maryi Panny.

* Sytuacja kościoła katolickiego w Szwecji zaczyna się polepszać. Katolicy tamtejsi mogą obecnie utrzymywać swe prywatne szkoły, mogą zakładać klasztory, brać swobodnie ślub w kościele katolickim itp. Do ostatnich czasów katolicy tamtejsi byli dość skrępowani w swej działalności. Religią panującą jest tam protestantyzm.

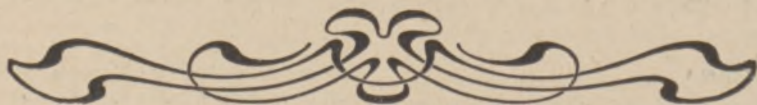
* Asyż — miejsce kultu św. Franciszka z Asyżu nawiedziło w czasie trwania Roku Jubileuszowego ponad miliona pątników z różnych krajów.

INNE CZĘŚCI ŚWIATA

* W ubiegłym roku w klasztorze Sióstr Miłosierdzia w Betanii (Ziemia Święta) odkryto grotę o formie półkolistej w wymiarach: 5.40 m szerokości, 4 m długości i 2.40 m wysokości. Cała grota pokryta jest niebieskawym tynkiem, na którym widnieją czerwone napisy. Grota ta, to niewątpliwie jedno z najstarszych saktuariów chrześcijańskich. Naj-

starsze jego napisy pochodzą prawdopodobnie z III i IV wieku naszej ery.

* Misja Franciszkanów Polskich w Japonii rozwija się coraz pmyślniej. — Obecnie liczy 5 domów. Pracuje w niej 76 członków. Franciszkanie tamtejsi wydają „Rycerza Niepokalanej“ po japońsku. Ostatnio dla większej opieki nad dziećmi założono Zgromadzenie żeńske, które ma się opiekować przedszkolami, ochronkami i pomagać w katechizacji nawracających się Japończyków.



PLAN REKOLEKCJI ZAMKNIĘTYCH

25—29/VI	Dla maturzystek i akademiczek.
2— 6/VII	Dla nauczycielek.
9—13/VII	Dla księży.
16—20/VII	Dla księży.
24—28/VII	Dla pań z inteligencji.
28/VII—1/VIII	Dla czcicielek Serca Jezusowego.
1— 5/VIII	Dla panów z inteligencji.
7—11/VIII	Dla nauczycielek.
16—20/VIII	Dla III Zakonu.
21—25/VIII	Dla matek.
27—31/VIII	Dla pań oddających się pracy charytatywnej i społecznej.
4— 8/XI	Dla osób żyjących w panieństwie, będących po 30-m roku życia.
11—15/IX	Dla akademików i maturzystów.

Rekolekcje zaczynają się po południu pierwszego, a kończą się rano ostatniego z podanych przy każdej serii dni. Rekolekcji udzielają Karmelici Bosi. Kto pragnie wziąć udział w rekolekcjach, winien uprzednio porozumieć się listownie z Domem Rekolekcyjnym. — Listy należy kierować pod adresem:

Dom Rekolekcyjny Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus
CZERNA, poczta KRZESZOWICE koło Krakowa.

Ważne ogłoszenie
dla P.T. Prenumeratorów „Głosu Karmelu"

Zawiadamiamy uprzejmie, że miesięcznik **„GŁOS KARMELU"** będzie się nadal ukazywał i dostarczany będzie P. T. Czytelnikom przez Państwowe Przedsiębiorstwo „Ruch". Prenumeratę należy opłacać za pół roku lub za cały rok. Cena jednego numeru wynosi 2 zł, a zatem prenumerata półroczna wynosić będzie 12 zł, roczna 24 zł.

Każdy, kto pragnie otrzymać „Głos Karmelu", musi koniecznie wpłaścić odpowiednią kwotę z góry przynajmniej za pół roku na konto:

PKO Kraków, Nr IV-9451/110

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch"
Oddział w Krakowie, Dział Pren. Pocztowej
Wydawnictwo Religijne i Naukowe — Kraków

z wyraźnym zaznaczeniem: „na Głos Karmelu".

Uwagi:

1) Miesięczniki „Pod opieką św. Józefa" i „Głos Karmelu" należy zawsze oddzielnie zamawiać, opłacać itp.
2) Wszelkie artykuły do druku w „Głosie Karmelu" należy nadal przesyłać na adres:

Redakcja „Głosu Karmelu"
Kraków, ul. Rakowicka 18

TREŚĆ NUMERU

Rola św. Józefa w naszym życiu, II . . . 3
Dobry Pasterz (Cykl: Z Ewang. w ręku, IV). 7
Teleskop w zaświaty (Cykl: Życie nadprzr. IV). 9
Życie w duchu Zmartwychwstania 11
Dziewięciornik (Listy do Krystyny, XI) . . 13
Stasiu sam zdejmuje płaszcz (Cykl: Pani Jadwiga, IV) 17
Prawda 18
Gospodarstwo rodzinne 19
Matka 20
Módlmy się z mszalików 23
Malkontent 25
Apostoł Pomorza 25
Życie Katolickie 29

Miesięcznik dla Rodzin Katolickich.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej i Zakonnej. L. 5488/51

Redaguje Kolegium
Adres Redakcji:
Redakcja „Pod Opieką św. Józefa"
Kraków
ul. Rakowicka 18

Konto:
Wydawnictwo Karmelitów Bosych
Kraków
PKO. Kraków Nr. IV — 842/115.

Adres dla spraw prenumeraty:
Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu
„Ruch" Oddział w Krakowie
ul. Lubicz 42
Konto: Państwowe Przedsiębiorstwo
Kolportażu „Ruch" Kraków
Dział Prenumeraty Pocztowej
Wydawnictwo Religijne i Naukowe
PKO. Kraków Nr IV — 9451/110

Cena pojedynczego numeru 1.50 zł.

KRAKOWSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE ZAKŁAD 7 — KRAKÓW

M-2-18508 Druk ukończono 7. VII. 1951. 225